№ 6. Warszawa, dnia 11 Lutego (30 Stycznia) 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Pierwsze numery **Prawdy** ze stycznia wyczerpane; nowo przybywającym przeto abonentom dostarczyć ich nie możemy.

POLITYKA.

ZWIASTUN POKOJU.

Dawno już w prasie europejskiej nie rozległ się taki wstrząsający huk, jak przed tygodniem, gdy dwa pisma urzędowe ogłosiły treść tajemnego układu niemiecko-austryackiego. I jakież to materye wybuchowe zawierała ta bomba? W znacznej części dość nieszkodliwe. Dowiadujemy się z niej, że gdyby którekolwiek z dwu mocarstw zostało napadnięte przez Rosyę, drugie obowiązane mu pomagać całą siłą zbrojną, a następnie pokój ma być zawartym za wspólną zgodą; że gdyby jeden z sojuszników napadnięty został przez jakieś inne państwo, drugi powinien zachować życzliwą neutralność, a w wypadku połączenia się z napastnikiem Rosyi, spełnić obowiązek wyżej wskazany; że umowa pozostanie w tajemnicy, ale gdyby pokojowe zamiary Rosyi okazały się zwodnymi, traktat ma być jej oznajmiony.

Jeżeli umowa niemiecko-austryacka była znaną w Petersburgu od pół roku, to przedewszystkiem nastręcza się pytanie: dlaczego ją ogłoszono i dlaczego ogłoszono właśnie teraz? Dla ujawnienia pokojowych zamiarów obu państw — objaśnia ks. Bismark. Pozwolimy tu sobie wysnuć dość prawdopodobną hipotezę. Paragraf trzeci traktatu warunkuje, że gdyby nadzieja pokoju została ze strony Rosyi osłabioną, spólnicy uwiadomią to mocarstwo o swem przymierzu. Podczas wrzawy o przesuwanie i skupianie wojsk ruskich nad granicą zachodnią może to istotnie zrobiono, gdy jednakże Rosya swych ruchów nie powstrzymała, należało wywrzeć na nią nacisk silniejszy — objawić światu, że związek austro-niemiecki jest czysto obronny.

Do tej pobudki dołączyła się wkrótce inna. W ostatnich czasach słabiej przez prasę wiedeńską, a mocniej przez ruską poruszoną została myśl porozumienia się Rosyi z Austryą bez udziału Niemiec. Nie rozbieramy możliwości takiego wypadku, ale jest niezawodnem, że byłby on najgroźniejszym, śmiertelnym ciosem dla Prus. Z chwilą, w którejby takie przymierze nastąpiło, państwo ks. Bismarka, osaczone nadto przez Francyę, poprostu przestaje istnieć, albo też mogłoby żyć jedynie łaską swych rozkazodawców. Myśl ta ze wszystkich okropnych najbardziej przeraża „żelaznego księcia," nie dziwno też, że on ją płoszy, zabija nawet jej cień i marę. Ogłaszając traktat, zamknął usta przyjaznym temu widmu dziennikom austryacko - ruskim, ostrzegł je, ażeby się daremnie nie wabiły, bo oto istnieje traktat, który takie sojusze wyłącza i uniemożliwia. Wobec jawności tego układu, Rosya dziś czuje się bardziej zniechęconą, Austrya jeszcze bardziej skrępowaną.

Oto są, według nas, powody rzucenia owej bomby.

Inaczej wyłożył myśl i ogłoszenie tego traktatu ks. Bismark w swej mowie sejmowej. Według niego, Niemcy pragną pokoju i tylko pokoju, a wszelkie ich przymierza, wszelkie uzbrojenia mają wyłącznie cel obronny. Jest to w sadzawce europejskiej— jak on się wyraża — gromada karpiów, ubezpieczających się przeciwko szczupakom. Obu sąsiadkom wierzy, ufa, a na dowód tej ufności i wiary żąda od sejmu wytworzenia mu „czwartego mocarstwa" do sojuszu, powiększenia armii o 700,000 żołnierzy. Jest to dziwny, na skutki czaru obliczony sposób rozumowania. Dzienniki francuzkie, angielskie i ruskie zaznaczyły tę sprzeczność wywodu, to rozwinięcie symfonii politycznej, w której początek jest sielanką a koniec marszem wojennym, ale ogólne wrażenie mowy jest pokojowem. Giełdy nieco uśmierzyły swą nerwowość, przepowiednie atmosfery politycznej wróżą pogodę, a przynajmniej „odmianę," naprężona po ogłoszeniu traktatu uwaga zwolniła swe struny i zapadła w dawne znużenie. Dziś jeszcze opinia wmawia w siebie, że „sytuacya rozjaśniła się," a utwierdza ją w tem przekonaniu prasa europejska.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Papież polityczny przemówił. Po zamieszaniu, wywołanem przez ogłoszenie traktatu niemiecko-austryackiego, oczekiwano tej mowy z niecierpliwością, z wzruszeniem, z histeryczną drżączką.

Naprzód wspomniał o Rosyi. Sądzę — powiada ks. Bismark — że usposobienie jej od roku się nie zmieniło. Prasie ruskiej, która niema dla mnie żadnego znaczenia, nie ufam, ale ufam słowu Monarchy. Przypuszczam nawet, że gdybyśmy wiedli wojnę z Francyą, Rosya by nas nie zaczepiła. Gromadzi ona swoje wojska i posuwa ku

granicy zachodniej, ażeby nadać wagę swemu słowu w razie *starcia* europejskiego (jakiego?). Bóg dał nam sąsiadów, którzy dbają o to, ażebyśmy nie zniewieścieli i pozostali wojowniczymi. Te szczupaki w sadzawce europejskiej nie pozwalają nam zostać karpiami. Musimy być nierozerwalni, ażeby szczupaki czepiać się nas nie mogły. Od r. 1875 Rosya zaczęła żywić ku nam nieprzyjaźń. Wtedy, mając do wyboru między nią i Austryą, wybrałem Austryę. Jeżeli nasi przeciwnicy sądzą, że pragniemy pokoju z obawy wojny, to się mylą. Nie boimy się nikogo, prócz Boga.

Podobnie rozwinięty motyw stosunku do Francyi. Ks. Bismark powiada, że nawet „nie potrzebuje zapewniać," jak dalece stara się o jej przyjaźń i zaznacza, że opinia tam dziś już mniej zapala się wojną.

Mimo tych rękojmi pokoju i dowodów przyjaźni, żąda uchwalenia 270 milionów marek na cele wojskowe i woła: „Tego, co my, nikt nie dokaże. Mogą tylcż żołnierzy umundurować, ale ich jakością nam nie sprostają. Nie mają naszych podoficerów, żaden kraj nie posiada tak znacznego korpusu oficerów.

Kanclerz niemiecki dowodzi, że podnoszone coraz bardziej uzbrojenia są naturalnymi i najpomyślniejszymi warunkami pokoju, że praca bez żelaznego pancerza byłaby lichą i bezpłodną, że z tych milionowych armij nie wyniknie żadne starcie, tylko spokojny rozwój świata.

Sejm zatwierdził żądane dopłaty do budżetu wojskowego jednomyślnie.

Zapisać jednak winniśmy kilka drobiazgów. Znany przywódca centrum katolickiego w Niemczech, Schorlemer-Alst, zarzucił w mowie swojej polakom pruskim, że ich adres do arcyb. Dindera tchnął krytyką władzy kościelnej, buntem, owce zaś powinny przed swym pasterzem tylko się żalić, ale nigdy krytykować jego działań. Zagraniczne pisma polskie i ultramontańskie niemieckie przywołują za to p. barona do porządku. Dla nas wygląda on jak klerykalny Sinobrody, który, widząc pochylone głowy, śpiewa jeszcze: niżej, niżej...

Młodoczesi z p. Gregrem na czele utworzyli osobny klub niezawisłych, który zapowiada wiele, a dotrzyma mało. Ktoś zrobił trafną uwagę, że p. Gregr jest dziś niewolnikiem swej sławy, która go zmusza do awantur, grożąc zapomnieniem.

W ostatniej chwili telegraf donosi, że niemieckiemu następcy tronu przecięto krtań. Dobre więc znaki zawiodły.

BADANIA NAUKOWE.

UPÓR

JAKO OBJAW BEZWŁADNOŚCI UMYSŁU

II.

Nad uporem mało dotąd zastanawiano się, pomimo że w wychowaniu i w życiu praktycznem odgrywa on ważną rolę. Kto miewał do czynienia z dziećmi, ten wie z własnego doświadczenia, jakie on nastręcza trudności w zawodzie nauczycielskim. Większym bywa nieraz szkopułem w stosunkach życia towarzyskiego i w sprawach publicznych. O upór ludzi, zajmujących kierownicze stanowisko w społeczeństwie, rozbijają się nierzadko najszlachetniejsze usiłowania, najzbawienniejsze zamiary. Jaka jest jego natura, dostatecznie wskazuje znane powszechnie przysłowie: na upór nie masz lekarstwa. Tem dziwniejszem też wydać się musi to jego zupełne zaniedbanie i pomijanie przez psychologię, która widocznie nie przypuszczała, żeby mógł mieć znaczenie teoretyczne, żeby był objawem, jaskrawo wykazującym zasadniczą stronę umysłu. Skutkiem tego, pojęcia, jakie o nim powszechnie utrzymują się, są najbłędniejsze. Zaliczając go do wad i narowów tego samego rodzaju, co nieposłuszeństwo, krnąbrność, przekorność, uważają go zwykle za akt dowolny, zależny od dobrej chęci każdego. Takie zapatrywanie nie jest właściwe samym tylko ludziom praktycznym; podzielają je i uczeni psychologowie, ci przynajmniej, którzy mimochodem potrącają o opór. Wzmiankę swą o nim zamieszczają w rozdziale o woli i kładą go tuż obok nieposłuszeństwa. To samo czynią także i pedagogowie.

Że upór nie należy do objawów woli, dowodzi tego fakt, iż odznaczają się nim zazwyczaj dzieci, w których wola jeszcze się nie wyrobiła, starcy, u których ona zaczyna się rozprzęgać i wogóle ludzie słabego charakteru, którzy nie umieją panować nad sobą. Jakoż nie rzadko dzieje się, że ci, co w dzieciństwie byli znani z uporu, w wieku dojrzałym, dzięki szczęśliwie pokierowanemu wychowaniu i późniejszym okolicznościom życia, stają się ludźmi stałego charakteru, silnych przekonań, u których miejsce ślepego oporu zajęła świadomość celu i pobudek działania. Słowem, w miarę jak się wytwarza mechanizm woli, upór ustępuje. Jest on więc przeciwieństwem woli, jej zaprzeczeniem. Lecz czy nie można tego samego powiedzieć i o nieposłuszeństwie? Czyliż nie jest ono również zaprzeczeniem woli rozumnej? Tak i nie! Zależy to od okoliczności, w których się ona objawia, a zarazem od pobudek, któremi się kieruje.

Nieposłuszeństwo oznacza stosunek zewnętrzny; jest ono zachowaniem się osobnika wobec przełożonych i pochodzi z pobudek świadomych różnego rodzaju. W każdym razie jest działaniem zamiarowem, a więc dowolnem. Może ono być nierozsądnem, pochodzącem ze wzgardy i lekceważenia przełożonych, ze swawoli, ale może również pochodzić z uznania niesłuszności zakazu lub nakazu. Jak w jednym, tak i w drugim wypadku jest aktem woli; całkiem odmienny charakter uporu. Nie darmo nazywają go ślepym. Jest on nim rzeczywiście. Upór jest objawem czysto instynktowym, od woli niezależnym, oznacza stosunek przedewszystkiem wewnętrzny. Upieramy się zwykle przy tem, co stanowi wewnętrzną treść naszą, do czegośmy nawykli, co jest stanem naszej świadomości mniej lub więcej trwałym. Upierając się, nie zdajemy sobie sprawy z powodów, dla których to czynimy. Osobiste względy nie odgrywają w tem żadnej woli. Jedyną pobudką upierania się jest mimowolna, napół świadoma dążność umysłu do trwania w swym stanie. Lecz dążność tego rodzaju stanowi, jak już wiemy, istotę bezwładności. Upór więc, a bezwładność, jest to jedno i tożsamo.

Ściślej rzeczy biorąc, należałoby powiedzieć, że upór odpowiada właściwie temu, co w fizyce nazywamy oporem, oznacza on bowiem pewne oddziaływanie na zewnątrz, zachowanie się umysłu wobec okoliczności, dążących do wyprowadzenia go z jego stanu. Tak jest niezawodnie. Z tem wszystkiem opór nie jest niczem więcej, jak obja-

2)

PRZED GILOTYNĄ

Urywki niewydane z pamiętników

J. TURGENIEWA.

Dostaliśmy się na wielkie podwórze więzienne; w jednym jego kącie, na lewo, przed pół zamkniętemi drzwiami, musieliśmy się poddać pewnego rodzaju apelowi. Następnie wpuszczono nas do izby wysokiej i ciasnej; była próżną, w pośrodku stał tylko kryty skórą taboret.

— Tutaj robią „toaletę" skazanego — szepnął mi do ucha M. Du Camp.

Nie wszyscy tu przyszli. Licząc naczelnika, pana Claude i księdza, było nas dziesięciu.

Podczas dwu lub trzech minut, które spędziliśmy w tym pokoju przy pewnych formalnościach z papierami, uczucie, że nie mieliśmy prawa czynić tego, cośmy czynili, uczucie, żeśmy z udaną powagą towarzyszyli zabójstwu jednego z naszych bliźnich, żeśmy wszyscy grali komedyę obrzydłą i niepraważną, przeniknęło mój umysł po raz ostatni.

P. Claude dał nam znak do ruszenia za nim w długi korytarz, pokryty kamiennemi taflami, oświetlony dwoma kagankami; począwszy od tej chwili, nie wiedziałem już nic, oprócz chyba tego tylko, że zaraz, natychmiast, w tej minucie, w tej sekundzie zajdzie coś strasznego.

Przebywszy pospiesznie dwa piętra, następnie nowy korytarz i zszedłszy znowu po schodach kręconych, znaleźliśmy się przed wrotami żelaznemi... Otóż on!

Strażnik obrócił ostrożnie klucz w zamku. Drzwi się rozwarły, nie zaskrzypiawszy w zawiasach, bez szmeru. Nie wymówiwszy ani słowa, wśliznęliśmy się do obszernej izby o murach żółtych, o oknach zakratowanych, izby, zawierającej łóżko nieposłane, ale próżne. Równe światło kaganka oświetlało dość dobrze wszystkie przedmioty.

Byłem ostatni i przypominam sobie, że mimowoli zamykałem oczy. Pomimo to nie omieszkałem zauważyć dość blizko ode mnie, z boku, twarzy młodej, o czarnych włosach i oczach. Poruszyła się zwolna, z lewa na prawo i badała nas „wzrokiem długim i błędnym."

Był to Troppmann.

Obudził się właśnie przed naszem przybyciem i zastaliśmy go siedzącego przed stołem, na którym tylko co napisał list pożegnalny do matki (zresztą bez znaczenia).

P. Claude zdjął kapelusz i zbliżył się do więźnia.

— Troppmann! — rzekł swym suchym głosem, basowym i jednostajnym: przyszliśmy ci oświadczyć, że twą prośbę o ułaskawienie odrzucono i że godzina odpokutowania wybiła.

Skazaniec podniósł nań oczy; straciły one swój wyraz błędny, nieokreślony; spojrzał na niego spokojnie, jeszcze sennie, nie wyrzekłszy ani słowa.

— Moje dziecko! — zawołał ksiądz głosem głuchym, zbliżając się z drugiej strony — odwagi!

Troppmann zwrócił ku niemu to samo spojrzenie, które poprzednio rzucił na p. Claude.

— Wiedziałem dobrze, że się nie będzie obawiał — rzekł tenże głosem pewnym: teraz, kiedy mężnie zniósł pierwszy cios, odpowiadam już za niego.

Rzecby można, mistrz chwalił wychowanca na egzaminie dla dodania mu odwagi.

— Oh! nie obawiam się — odpowiedział skazaniec — nie obawiam się.

Głos miał barytonowy, młody i przyjemny, bardzo równy.

Ksiądz wyciągnął z kieszeni flakon:

— Nie chciałbyś się napić trochę wina, moje dziecko?

— Dziękuję panu, nie potrzebuję — odparł Troppmann z grzecznym półukłonem.

Claude zwrócił się do niego ze słowami:

— Trwasz i obstajesz przy oświadczeniu, że nie jesteś winien zbrodni, za którą zostałeś skazany?

— Nie zadawałem ciosów.

wem bezwładności. Ciało o tyle tylko stawia opór zewnętrznym siłom, o ile jest bezwładnem. Opór, a bezwładność jest w gruncie jednem i tem samem. Toż samo należy rozumieć i o uporze, który jest objawem bezwładności umysłowej.

Dziecię, upierające się w swych wrodzonych skłonnościach i w pragnieniach, upiera się z energią i wytrwałością, które są równe bezwładności, z jaką ono poddaje się swym skłonnościom i chęciom. W umyśle jego nie ma jeszcze innych pierwiastków, oprócz tych, jakie z sobą na świat przyniosło. Jego więc przyrodzone dążności, nienapotykając w swym ruchu żadnego hamulca, ogarniają cały jego umysł i nadają mu kierunek, który w swym rozwoju stawia opór wszystkiemu, co mu staje na drodze, co go utrudnia i tamuje. Opór ten, będąc mimowolnym, instynktowym, czerpie swą siłę i wytrwałość w żywotnej energii organizmu.

Tak samo wieśniak, upierający się w swych przesądach i uprzedzeniach, albo dogmatyk przy swej prawdzie bezwzględnej, upierają się mocą bezwładności umysłowej. Wierzenia ich i przekonania, stanowiąc główne ogniska ich skojarzeń umysłowych, wytworzyły dla nich stan świadomości, z którego wydobyć się sami przez się nie mogą. W nich nagromadziła się cała ich energia żywotna — i ona to stawia opór wszystkim rozumowym wywodom i dowodom, mającym na celu nadać ich myślom i przekonaniom kierunek odmienny. Wywody te są za słabe do pokonania bezwładności, z jaką umysł ich ulega ustalonym w nim skojarzeniom pojęć i uczuć. Dla pokonania jej potrzebaby wprzód zburzyć cały system owych skojarzeń i na jego miejscu nowy ustalić.

Opór, jaki człowiek, opanowany przez namiętność lub nałóg, stawia wszelkim usiłowaniom wydobycia go z nich, jest równomiernym bezwładności, z jaką się poddaje fatalnemu swemu kierunkowi. Im sam on mocą woli opiera się swemu kierunkowi i stara się go zwalczyć, czyli im z mniejszą bezwładnością poddaje się mu, tem też i opór jego przeciwko okolicznościom i postronnym usiłowaniom wyleczenia go z jego namiętności będzie słabszym i łatwiejszym do pokonania.

Upór więc, będąc objawem bezwładności umysłowej, objawem instynktowym, od woli niezależnym, nie może być stawiany w jednym rzędzie z nieposłuszeństwem, które jest aktem woli.

Do jakiejże grupy zjawisk umysłowych potrzeba upór zaliczyć?

Zbytecznem byłoby dowodzić, że nie należy on do objawów rozumu tak samo, jak i do objawów woli. Myślenie, będące tylko dalszym rozwojem procesu postrzegania, oznacza stosunek przedmiotowy i za ostateczny swój wynik ma poznanie rzeczy; upór tymczasem oznacza stosunek wewnętrzny — i nie chodzi w nim o poznanie przedmiotu, ale o wytrwanie podmiotu w swym stanie.

Czy nie należy go więc zaliczyć do objawów uczucia, które tak samo oznaczają stosunek czysto podmiotowy a z któremi ma jeszcze i to wspólnego, że jest faktem od woli niezależnym i że w pewnych wypadkach bywa przykrym, albo przyjemnym? Jakkolwiek podobieństwa te są rzeczywiste, występują przecież obok nich różnice tak wielkie, że wykluczają wszelką możliwość zaliczenia uporu do tej samej kategoryi zjawisk, co uczucia. Upór sam przez się jest obojętnym, staje się raz przykrym z powodu przeszkód, przyjemnym, gdy te przeszkody zostaną usunięte; przykrość i przyjemność jednakże są tu żywiołami dodatkowymi, pochodzącymi nie od niego, ale od pierwiastków umysłowych, którym towarzyszy.

Prawda, że uczucie, tak samo jak upór, oznacza stan podmiotowy, stosunek wewnętrzny; ale stan ten zostaje w zależności od postrzeżeń i pojęć, od świata przedmiotowego i jest niejako wypadkową zewnętrznych czynników i wewnętrznej treści umysłu, jest miarą przystosowania się jego do warunków otoczenia. Uczucia, będąc podmiotową stroną wrażeń zmysłowych, nabierają od nich właściwego zabarwienia i występują, jako objawy zróżniczkowane, tak pod względem jakości, jak ilości. Rzecz się ma inaczej z uporem. We wszystkich swych objawach szczególnych jest on zawsze jeden i ten sam i jedyne różnice, jakie w nich dadzą się wykryć, są to różnice pod względem natężenia. Czy on się objawia w zakresie pojęć, lub uczuć, czy też w chęciach i dążnościach, wszędzie i zawsze jest tą samą bezbarwną, że tak powiem, siłą, występującą tu z mniejszą, owdzie z większą energią. Objawia się on, jako oddziaływanie na zewnątrz, ale jako oddziaływanie, którego zadaniem nie jest przystosowanie się podmiotu do przedmiotu, lecz zachowanie stanu, w jakim podmiot znajduje się. Uczucia, będąc miarą przystosowania się umysłu do otoczenia, są głównymi kierownikami organizmów żyjących w walce o byt; upór, przeciwnie, stawiając tamę wszelkiemu przystosowaniu, staje się czynnikiem w walce o byt zgubnym, i umysły, odznaczające się ślepym uporem, skazane są na to, że bieg wydarzeń albo je obala, albo wymija, pozostawiając je za sobą, jako istoty bezużyteczne dla sprawy rozwoju.

Upór tedy nie należy wyłącznie ani do woli, ani do poznania, ani do uczuć, ale razem do nich wszystkich, będąc wspólnym ich podkładem i objawiając się zarówno w pojęciach, uczuciach i dążnościach. Upór, jako upór, sam przez się, niezależnie od tego, w czem się objawia, nie istnieje. Upierać się można tylko w czemś, co stanowi pewien stan świadomości — w pojęciach, uczuciach, dążnościach, ale nigdy nie można się upierać w uporze, że tak powiem. Zdarza się wprawdzie coś podobnego u dzieci, ale to w chwilach wielkiego rozdrażnienia. Mówimy wtedy, że się zacięło w uporze — jakkolwiek słuszniej byłoby powiedzieć, że — w krnąbrności, w przekorze, które są objawami nieposłuszeństwa, spowodowanemi gniewem, oburzeniem. Z podobnym faktem spotykamy się również i w ludziach dorosłych, którzy upierają się przy swojem nie dlatego, że to swoje uważają za dobre i prawdziwe, ale dlatego, że wszelkie ustępstwo ze swej strony poczytują za ujmę dla siebie. Jest to więc akt dowolny, pochodzący z miłości własnej, ze źle zrozumianej ambicyi, i do uporu we właściwem znaczeniu zaliczonym być nie może.

Więc czemże jest upór w ostatecznym rezultacie? Jest on energią umysłową, energią, której głównem źródłem jest siła nerwowa, wytwarzająca się w ośrodkach nerwowych pod wpływem odżywiania, ta sama siła, w której Bain upatruje podstawę samorzutności umysłowej, chociaż ona, będąc faktem czysto fizyologicznym, podlega, jak i wszystkie inne zjawiska życiowe, najściślejszemu determinizmowi. Jako energia wrodzona objawia się upór w różnym stopniu tak pod względem natężenia, jak i trwałości, w różnych osobnikach, stosownie do właściwego każdemu z nich temperamentu.

— Ale... — przemówił naczelnik więzienia.

— Nie zadawałem ciosów.

— Twierdzisz, że miałeś spólników, którzy je zadawali?

— Tak jest, twierdzę.

— Nie chcesz ich wymienić?

— Nie mogę... i nie chcę. Tak jest, nie chcę...

Głos jego stał się donośnym, twarz nabrała barwy; zdawało się, że go ogarnął gniew.

— Dobrze, dobrze! — uspokoił go spiesznie p. Claude, dawszy mu do zrozumienia, że to badanie było tylko formalnością, że już czas przejść do czego innego.

Tak, miano wkrótce rozpocząć „toaletę."

Przed tą ponurą ceremonią należało dokonać kilku przygotowań. Dwu strażników zbliżyło się do skazańca i poczęło zdejmować z niego „kaftan," rodzaj bluzy niebieskiej, związanej na grzbiecie rzemieniami i sprzączkami a zaopatrzonej w długie rękawy, zamknięte na kształt worków, których końce przywiązane były do pasa mocnymi sznurami.

Troppmann stał o dwa kroki ode mnie, z boku. Mogłem swobodnie obserwować jego twarz. Możnaby uważać go za pięknego, gdyby nie był oszpecony przez usta nabrzmiałe i nieprzyjemne, lejkowate, jak u drapieżnych zwierząt i odsłaniające zęby czarne i rzadkie, trochę faliste, brwi długie, oczy pełne wyrazu, czoło odsłonięte i czyste, nos regularny, lekki meszek czarny na podbródku.

Postać ta, widziana nie w więzieniu i w innych okolicznościach, byłaby wywarła korzystne wrażenie. Spotykałem ten typ setki razy między robotnikami i wychowańcami szkół publicznych.

Był on wzrostu średniego, drobny, chudawy szczupłością młodzieńczą, bardzo smukły — nie miał jeszcze lat dwudziestu.

Cera jego, zupełnie naturalna, świadczyła o dobrem zdrowiu; świeży, różowawy, nie zbladł nawet w chwili naszego wejścia od celi.

Noc całą spał spokojnie.

Podczas zdejmowania „kaftana" podniósł oczy; oddech jego był regularny, głęboki, podobny do oddechu człowieka, wstępującego zwolna na górę.

Raz czy dwa odrzucił włosy ruchem głowy, jak gdyby dla odpędzenia myśli natrętnej, później odchylił głowę w tył, spojrzał nagle w górę i westchnął zaledwie spostrzegalnie.

Po za tymi przelotnymi ruchami, nic nie zdradzało w nim obawy, ani nawet niepokoju lub jakiegokolwiek wzruszenia. My wszyscy, bez żadnej wątpliwości, byliśmy bledsi i bardziej wzruszeni od niego.

Gdy wyswobodzono mu ręce z „kaftana," podniósł je z uśmiechem zadowolenia ku piersiom, podczas gdy z tyłu odwiązywano rzemienie; małe dzieci mają ten sam giest przy rozbieraniu ich. Następnie sam zdjął koszulę w celu włożenia czystej; kołnierzyk z wielką starannością zapiął na guzik.

Było to dziwne widowisko śledzić ruchy szerokie i swobodne tego tułowia nagiego zarysowywujące się na tle żółtawem ściany więzienia.

Obuł następnie trzewiki, uderzając z hałasem obcasami i podeszwami o posadzkę, aby nogi dobrze w nie weszły. Dokonał wszystkich drobnych rzeczy bez przymusu, wesoło, jak gdyby przyszli go zabrać na przechadzkę. Zamilkł, i my również, wymieniając tylko spojrzenia i wzruszając ramionami.

Byliśmy uderzeni prostotą tych ruchów, prostotą, która, jak wszelkie zjawiska spokojne i naturalne w życiu, nie była pozbawiona elegancyi.

Jeden z asystentów, którego spotkałem przypadkowo tego samego dnia, powiedział do mnie, że gdy znajdywaliśmy się w celi Troppmanna, zdawało mu się, żeśmy nie byli w roku 1870 lecz 1794; żeśmy nie byli zwyczajnymi obywatelami, lecz jakobinami, i żeśmy prowadzili na stracenie nie zwykłego zbrodniarza, lecz margrabiego legitymistę, dworzanina...

Zauważono, iż w ogólności skazani na śmierć, słuchając wyroku, zapadają w stan nieczułości, blizki katalepsyi, jak gdyby już umarli przed straceniem, albo pozują i stawiają czoło śmierci dla zjednania obecnych, albo też rozpaczy poddają się, płaczą, drżą, błagają przebaczenia... Troppmann nie należał do żadnej z tych kategoryj. Zachowanie się jego zdziwiło nawet pana Claude.

Z tem wszystkiem natężenie i trwałość uporu nie zależy od samej tylko energii przyrodzonej człowieka, ale jeszcze i od tego, w jakim punkcie, że tak powiem, ta energia została nagromadzoną. Każdy akt umysłowy jest zużytkowaniem owej energii. Im częściej powtarza się, tem więcej w tym kierunku nagromadza się siły żywotnej— i tem większy dlatego będzie upór z tej strony. W dziecięciu, w którem doświadczenie indywidualne jest prawie żadne, w którem siła żywotna zużywa się przeważnie w kierunku odziedziczonych usposobień — upór objawia się zwykle w chęciach i pragnieniach oraz w instynktowych dążnościach z całą energią, na jaką je stać. W ludziach dojrzałych, w których doświadczenie osobiste równoważy do pewnego stopnia odziedziczone usposobienia, upór może się objawiać z równą energią, tak we wrodzonych skłonnościach, jak i w nabytych nałogach, będących ogniskami skupienia siły żywotnej.

Wiemy już, że opór ciał, gdy są w spoczynku, zależy od ich masy, czyli od ilości składających je atomów. Tak samo upór pojęć, uczuć, nałogów zależy od ilości wrażeń, które się złożyły na ich wytworzenie i od ilości ich powtórzeń. Wiadomo również, że opór ciała poruszającego się jest większym od oporu jego w spoczynku o całą ilość prędkości, czyli zależy od ilości ruchu, będącej iloczynem masy przez prędkość. Formuła ta również daje się zastosować i do uporu. Łatwiej upór pokonać, gdy umysł jest w stanie spokojnym, niżeli, gdy jest w stanie roznamiętnienia. Widzimy więc, że pomiędzy uporem, a oporem zachodzi nie sama tylko analogia, ale tożsamość. Jest to sama siła bezwładności, która w ciałach objawia się jako dążność do zachowania spoczynku lub ruchu, w umyśle zaś jako dążność do zachowania stanu świadomości. Jeżeli pozornie dostrzegają się w tych dwóch jej objawach jakie różnice, pochodzą one stąd, że warunki ich odmiennej są natury.

Wnioski praktyczne, do jakich prowadzi powyższe zapatrywanie na naturę uporu, są same przez się widoczne.

Ponieważ upór stanowi objaw bezwładności umysłowej, więc jedynem nań lekarstwem jest samorzutność umysłowa, wyrabiająca się powoli wraz z ustalaniem się mechanizmu woli. W miarę, jak wyrabia się w dziecku wola, ustaje, a przynajmniej zmniejsza się w niem upór.

Tak zwane łamanie uporu, zalecane przez samozwańczą pedagogikę, nietylko nie prowadzi do pożądanych skutków, ale przeciwnie pociąga za sobą najzgubniejsze następstwa. Uporem wypowiada się energia żywotna. Łamiąc upor, można łatwo samą ową energię zniszczyć w zarodzie. Dziecko uparte przy właściwem prowadzeniu jego wychowania może wyjść na człowieka stałych i niezłomnych przekonań. Stałość bowiem charakteru jest w gruncie rzeczy także uporem, ale uporem rozumnym, świadomym celu, do którego dąży. Przeciwnie dziecko, w którem upór ustawicznie łamano, staje się najczęściej człowiekiem, jeżeli niepozbawionym zupełnie samodzielności, to w każdym razie niepewnym siebie i skrytym. Upór nie objawia się *in vacuo*, dziecko upiera się zwykle w tem, co stanowi przyrodzone dla jego energii ujście. Chcąc więc pokonać jego upór w rzeczy, którą uważamy za błędną i szkodliwą, potrzeba drogą powolnego oddziaływania sprowadzić jego energię na inną drogę, wytworzyć dla niej nowe i dogodniejsze ujście. Łamanie uporu bezwzględne zużywa i wyczerpuje przyrodzoną energię dziecka. A jakkolwiek nie trudno jest złamać upór w zewnętrznym jego objawie, pozostaje on przecież w sobie nietkniętym—i ustępuje dopiero wtedy, gdy po długiej walce cała energia żywotna wyczerpie się do szczętu. Najzgubniejszym zaś w praktyce łamania uporu zwyczajem jest nacieranie nań w chwili roznamiętnienia jego. Zużywa się przy tem tak ogromną ilość sił żywotnych w dziecku, i to bezużytecznie, że jej niczem powetować nie można.

W. Kozłowski.

WILKOŁACTWO

(szkic psychiatryczno-antropologiczny).

W ostatnich numerach *Prawdy* z roku zeszłego pomieściliśmy artykuł o „Ludożerstwie,“ w którym rozpoznawaliśmy to samo zboczenie uczuciowe w dwu różnych epokach historycznych, mianowicie, gdy śród rozpatrywanej grupy rodu ludzkiego kanibalizm jest zwyczajem powszechnie przyjętym i patologiczność tego stanu nie zwraca niczyjej uwagi, oraz w obecnym okresie cywilizacyjnym, kiedy nauka zdarła tajemniczość z bodźców szału krwiożerczo-erotycznego i w ludożercy ukazała przedewszystkiem cechę z nienormalnie ukształtowaną stroną emocyonalno-chuciową. Lecz pomiędzy temi dwiema epokami rozpościera się jeszcze inna; pojedyncze grupy ludzkości mogły już potępić krwawe obyczaje ludożerstwa, piętnując jako zbrodnię wszelkie wyładowanie się odnośnych popędów, lecz jednocześnie wiedza pozytywna wśród nich albo wcale jeszcze nie istnieje, lub zaledwie poczyna otrząsać się z bredni i przesądów a wobec jednostek o chorobliwem usposobieniu emocyonalnem szuka wyjaśnienia w nadprzyrodzoności. Przypomnimy czytelnikowi treść potrąconego obłędu. Włościanin, z nadmiernym rozwojem łuków brwiowych i dolnej szczęki, ze spłaszczoną kością potylicową, nieforemnemi uszami, był postrachem spółtowarzyszów pracy, gdyż bez najmniejszej zaczepki rzucał się na nich i gryzł. Razu jednego, spotkawszy na drodze pewnego młodzieńca, napada nań, obala na ziemię i wygryza policzki. Zatrzymano go, lecz wyrywa się strażnikom, pędzi do domu, chwyta dwuletnią córeczkę i wyżera kawałki ciała z ud, pośladków i piersi; kilka dni błąka się nago po polach, za powrotem do domu zostaje związany w chwili, gdy zamierzał rzucić się na inne swe dziecko. Podobne typy znajdujemy w opisach podróżniczych praktyk ludożerskich; lecz co u nas pociąga za sobą osadzenie w szpitalu, tam uchodzi bezkarnie, wskutek powszechności zwyczaju. Zapatrywanie się więc otoczenia na wyjaw tego samego popędu jest w obu razach zgoła odmienne, stanowi swego rodzaju kategoryę historyczną, zależną od warunków czasu i miejsca. Jedną z tych kategoryj jest wilkołactwo, mianowicie po przez całą tę epokę, kiedy postępujące społeczeństwo nałożyło już znamię potępienia na chucie ludożercze i jednostka, nosząca je w układzie swego organizmu, a wychowana w środowisku moralnem, ściągającem podobnego rodzaju objawy, nie przyjmowała ich istnienia jako faktu i oglądała się za źródłem powstania, nie posiadała jednakże rzetelnego wyjaśnienia. Ażeby zrozumieć możliwość przyobleczenia przez obłęd krwiożer-

---

Przyznam także, iż gdyby Troppmann był osłabł, nerwy moje nie byłyby wytrzymały i byłbym się cofnął. Lecz na widok tej postawy stanowczej, spokojnej, prostej i skromnej, wszelkie moje uczucia: uczucie odrazy, które we mnie budził morderca, potwór, co zarzynał drobne dzieci, krzyczące: „Mamo! mamo! mamo!“, uczucie litości dla istoty ludzkiej, którą miała wkrótce pochłonąć śmierć — wszystkie te uczucia starły się i stopiły w jedno, jedyne: zdumienie!

Jaką mogła być podpora moralna Troppmanna? Czy grał rolę przed widzami? Czy dawał nam ostatnie przedstawienie? Czy ta zimna krew pochodziła z wrodzonej odwagi? Czy była to miłość własna, podniecona słowami pana Claude? Pycha tej walki, którą należało podtrzymać aż do końca, lub jakieś inne uczucie, któregośmy przeniknąć nie mogli?

Jest to tajemnica, którą zabrał z sobą do grobu. Wiele osób jest przekonania, że Troppmann nie używał w całej pełni swych władz umysłowych. Morderstwo niedorzeczne i niczem niewytłomaczone, zdaje się, potwierdza to przekonanie.

Skończywszy obuwanie trzewików, wyprostował się, otrząsnął:

— Jestem gotów!

Nałożono mu znowu „kaftan.“ P. Claude poprosił nas o pozostawienie więźnia sam na sam z księdzem.

Zaledwieśmy dwie minuty przebyli w korytarzu, aliści wątły młodzieniec z głową odważnie podniesioną, z figurą wyprostowaną stanął już przed nami. Uczucie religijne słabo w nim było rozwinięte; odbył jakby formalność tę ostatnią ceremonię.

Ksiądz zimno wyrzekł rozgrzeszenie.

Całe nasze towarzystwo ze skazańcem w pośrodku wstąpiło na wązkie schody kręcone, po których zeszliśmy dopiero kwadrans temu. Nagle pogrążyliśmy się w najczarniejszych ciemnościach: kaganek zgasł. Była to chwila niedającego się opisać zamieszania. Potrącając się wzajemnie, rzucamy się wszyscy ku górze. Rozległy się ponure odgłosy przyspieszonych kroków naszych. Pchaliśmy się, ramiona nasze ścierały się ciągle. Ktoś zgubił kapelusz i rozgniewał się, zakląwszy: „Sacredieu! świecy, światła!“ A między nami, śród tej nocy głębokiej, stała nasza ofiara, nasz łup, ten nieszczęśliwiec!

I gdzież był? Gdyby go wzięła chętka skorzystania z ciemności, gdyby zapragnął użyć swej zwinności z energią rozpaczy, mógłby uciec... dokąd?

Dokąd? Było gdzie, do jakiegoś zakątka więzienia... i tam roztrzaskać czaszkę o ścianę... Przynajmniej wymierzyłby sobie sprawiedliwość sam! Nie wiem, czy innym przychodziły do głowy podobne myśli..., bądź co bądź moje przypuszczenia były nieuzasadnione. Całe nasze towarzystwo wynurzyło się z labiryntu schodowego na korytarzu z wątłym młodzieńcem pośrodku.

Gilotyna nie straci zatem swego łupu! Rozpoczął się pochód ku rusztowaniu.

Pochód ten był raczej rozsypką. Troppmann szedł na przodzie krokiem lekkim, elastycznym, prawie wesołym; spieszył się. My — postępowaliśmy za nim. Niektórzy starali się go wyprzedzić to z prawej, to z lewej strony; pragnęli widzieć twarz jego po raz ostatni.

Przebyliśmy korytarz, biegnąc, i w podobny sposób zeszliśmy z ostatniego piętra; Troppmann każdym krokiem obejmował dwa stopnie; przelecieliśmy wzdłuż innego korytarza i przeskoczywszy kilka stopni, znaleźliśmy się w izbie, do której nas wprowadzono na wstępie, a która za całe umeblowanie miała tylko taboret.

Na tem to siedzeniu odbywa się „toaleta“ skazanego.

Weszliśmy jednemi drzwiami, a drugiemi, umieszczonemi naprzeciwko, wszedł krokiem ciężkim i miarowym mężczyzna w czarnym fraku i białym krawacie — rzekłbyś dyplomata lub pastor — był to kat. Za nim postępował nizki starzec w czarnym tużurku: pierwszy pomocnik „Monsieur de Paris,“ kat z Beauvais. Starzec trzymał w ręce worek skórzany.

Troppman stanął nieruchomie przed taboretem, a jednocześnie i myśmy się także zatrzymali zgrupowani dokoła niego. Kat i pomocnik jego stanęli na prawo; obok nich ksiądz, naczelnik więzienia i pan Claude — na lewo.

czo-erotyczny szat witkolactwa, winniśmy nie spuszczać z uwagi, iż w chwili szału mamy do czynienia z osobą, zupełnie niezdającą sobie sprawy z własnych postępków i w większości wypadków po przez całe swe życie, jak to wykazują badania psychiatryczne, półidyotyczną, przesądną i podatną poddawaniu hypnotycznemu, a tem samem zdolną do samohypnotyzacyi. Wyjaśnienie popędu, dochodzącego do świadomości w postaci żądzy krwi ludzkiej i, jak wszelkie ataki epileptyczne, pragnącego od czasu do czasu z potężną mocą i odurzającego całą istność człowieka, znajduje obłąkanie w przypuszczeniu (jeżeli można użyć tego pojęcia w żywiołowo wywiązującym się procesie obrazowania uczuć i idei), iż w piersiach jego odzywa się jakieś zwierzę krwiożercze, w ciągu zaś dalszym, iż sam został w nie zamieniony. W każdym razie, połączenie obłędu krwiożerczego z przewrotnością idei o osobowości jest faktem stwierdzonym. W 1541 r. w okolicach Padwy zatrzymano miejscowego włościanina, sądzącego, że jest wilkiem; rzucał się wśród pól na przechodniów i kilku zamordował; ujęto go z wielką trudnością wśród wrzasków i wycia, lecz nieprzestającego dowodzić, iż wilcze uwłosienie znajduje się u niego pomiędzy skórą a mięsem. Jeszcze lepsze świadectwo posiadamy w aktach parlamentu Bordeaux z r. 1603. Zatrzymano w okolicach młodego trzynastoletniego chłopca, co rzucił się był na młodą dziewczynę, wraz z nim dozorującą trzodę. Podczas śledztwa okazało się, iż w szale ludożerczym był sprawcą kilku już morderstw nad dziećmi z celem rozkoszowania się ich mięsem; lecz jednocześnie wyszło na jaw, iż sąd ma do czynienia z młodym idyotą, tak, iż mimo przesądności wieku zamknięto go na całe życie w jednym z klasztorów; w pierwszych chwilach pobytu biegał tu, jako wilk, na czworakach, największą zaś dlań rozkoszą było pożeranie drgających jeszcze życiem wnętrzności drobiu. Gdy oglądano go w siedem lat później, opowiadał, iż niegdyś zamieniał się w wilka i przebiegał pola, że i obecnie czuje jakiś szczególny pociąg do mięsa dzieci, najlepiej zaś smakowałyby mu dziewczęta. Przerzucając kartki dzieła d-ra Calmeila o *Obłąkaniu dziejowem itd.* znajdujemy mnóstwo podobnych przykładów z XVI i XVII w.; tu włościanie urządzają obławę na „wilkołaka,“ gdyż od pewnego czasu ktoś porywa dzieci, morduje i wyżera różne części — i łapią człowieka; tam ujęty na samej zbrodni obłąkaniec wylicza swe ofiary: to dziewczę dziesięcioletnie, któremu wyjadł uda i ramiona, to dwunastoletnie, zbezczeszczone w podobny sposób... Uczynek, w oczach spółczesnych, występuje jako opętanie i do prawdy dorzeconą bywa spora wiązanka fałszów: tak, dziewczyna, na którą rzucił się jeden z opętańców chuci krwiożerczo-erotycznej, świadczy, że istotnie widziała przed sobą nie człowieka, lecz wilka, który dopiero po odpędzeniu przybrał kształty ludzkie; sami szaleńcy obstają przy swej naturze wilczej, jeden np. zebrany tłum zamordował, a raczej zamęczył zadawanemi ranami i odrywaniem skóry w celu przekonania się, czy rzeczywiście nosi on uwłosienie pomiędzy skórą a mięsem, jak twierdził podczas tych prób bolesnych. Sędziowie mieszczą sprawy o wilkołactwo śród zwykłych procesów o wiedźmostwo; zdolność do przemieniania się w dzikie zwierzęta nie ulegała najmniejszej wątpliwości ani w oczach sędziów i świadków, mających jasne dowody w poszarpanych członkach ofiar i w stanie ujętych sprawców, ani w przeświadczeniu wewnętrznem tych ostatnich. Nowoczesna nauka przyznaje najzupełniejszą wiarogodność stronie faktycznej tych spraw, różni się jedynie w wytłomaczeniu bodźców. Już i to, iż wilkołakami, przynajmniej czynnymi, bywali prawie wyłącznie mężczyźni (i to w czasach, gdy więzienia roiły się kobietami-wiedźmami), ofiarami zaś bardzo często dziewczęta, już to wskazuje, z kim mamy do czynienia. Wszystkie drobiazgi, towarzyszące zbrodni, dobitnie dowodzą, iż przed naszemi oczami przesuwają się w całej potędze swej chorobliwej natury niektórzy epileptycy.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad faktami, zaczerpniętymi z dziejów wilkołactwa średniowiecznego; uczyniliśmy to dlatego, iż są liczniejsze i szczegółowiej podane. Jednakże myliłby się, ktoby sądził, iż rozpatrywane zjawisko jest czemś, właściwem wyłącznie Europie. Przeciwnie, wiarę w zamienianie się ludzi na niektóre zwierzęta krwiożercze w zamiarach pożerania plemieńców odnajdujemy, jak długim i szerokim jest glob ziemski. I nie dziw, do jej wywiązania się jest wymaganem istnienie dwóch warunków: obecności w człowieku pewnej chorobliwej chuci, która ostatecznie jest jedynie wygórowanym niemoralnie stanem sprzężenia żądz, właściwego naturze ludzkiej, oraz potępienia w środowisku społecznem wyjawów kanibalizmu. Jednej tylko zmianie podlega średniowieczna osłonka ideologiczna obłędu krwiożerczo-erotycznego: zamiast wilka, występuje jakieś inne zwierzę. Tak, u hamedźów afrykańskich niektórzy ludzie, z pomocą złych duchów, przybierają na się niby postać hyeny i nocą wałęsają się dokoła mieszkań ludzkich w widokach uczt ludożerczych; wiarę tę odnajdujemy u wszystkich ludów Afryki. W Indyach przedgangesowych, zamiast wilka i hyeny, występuje tygrys i zdaniem ogółu tygrysołaki są okrutniejszymi i niebezpieczniejszymi nad zwykłe tygrysy. Punktem wyjścia dla wszystkich tych podań jest bezwarunkowo ten sam fakt, mianowicie wybuch szału krwiożerczo-erotycznego. Zresztą nie myślimy twierdzić, iż wspomniany obłęd jest jedynem źródłem, z którego wytryska wiara w wilkołaków; raczej godziłoby się przypuścić, iż wilkołactwo stanowi formę, w którą przyobleczono roztrząsane tu nastroje psychiczne wskutek panowania w otoczeniu stosownych poglądów na człowieka i przyrodę. W umyśle pierwotnym, wyjaśniającym zjawiska przyrody zapomocą postaci człowiekopodobnych i wyszukującym wszędzie te same bodźce, co drgają w piersi ludzkiej, przypuszczenie, iż w pewnych szczególniej szkodliwych lub pożytecznych zwierzętach przebywają duchy złośliwych lub dobrotliwych zmarłych plemieńców, było nietylko prawdopodobnem, lecz i nieodzownem. Na stopniu barbarzyństwa podstawą kultów religijnych jest ubóstwianie zwierząt: nie je się mięsa niektórych stworzeń, inne uważa się za praojców pojedynczych grup plemiennych, w innych znowu mają przebywać duchy zmarłych plemieńców. Dalszem następstwem tego nieokrzesanego stanu umysłowości, wobec tak wymownych dowodów, jak subjektywne poczucie osobowości zwierzęcej u niektórych osób, ich czyny krwiożercze i zachowanie się, wywzorowane na zwierzęcem, poszarpane zwłoki dziewcząt itd., było zupełne przeświadczenie o zdolnościach wilkołackich. Wszak jeszcze w początkach XVII w. w Anglii święcie wierzono, że w niektórych okolicach północnej Szkocyi rosną drzewa, co rodzą ślima-

---

Starzec otworzył kluczem worek i wyciągnął z niego kilka rzemieni ze sprzączkami; nie bez trudu przykląkł po za Troppmannem i jął mu wiązać nogi. Skazaniec mimowolnie postawił nogę na jednym z rzemieni; starzec usiłował go wyciągnąć i zanim sobie pozwolił dotknąć jego łydki, dla zwrócenia uwagi, dwukrotnie wyrzekł:

— Przepraszam pana.

Skazaniec się odwrócił; z uprzejmym półukłonem podniósł nogę i puścił rzemień skórzany.

Podczas tego, ksiądz półgłosem odczytywał z książki modlitwy po francusku.

Dwaj inni pomocnicy kata zdjęli spiesznie „kaftan,“ ujęli ramiona Troppmanna, związali mu ręce na plecach na krzyż i opasali całe jego ciało rzemieniami.

„Monsieur de Paris“ dawał polecenia, wskazując palcem raz na prawo, raz na lewo... Nie wykłuto dziurek w rzemieniach dla zębów od sprzączek; starzec począł szukać w worku, później w kieszeniach i wydostał z nich wreszcie szydło skrzywione; chciał przebić niemi rzemień, lecz palce nabrzmiałe od podagry odmawiały mu posłuszeństwa; skóra była twarda i nowa. Z trudnością zdołał przebić dziurkę; obok zaczął gotować drugą... Ksiądz, spostrzegłszy, że nie wszystko dobrze idzie, odmawiał wolniej modlitwy, chcąc dać czas starcowi.

Wreszcie, gdy tę operacyę, w ciągu której, wyznaję, zimny pot oblał mi twarz, skończono, rozpoczęto nową.

Poproszono Troppmanna, aby usiadł na taborecie; podagryczny starzec zaczął strzydz mu włosy. Wyciągnął przedewszystkiem małe nożyczki i z wieloma grymasami ust odciął uważnie kołnierz od koszuli skazanego, tej samej koszuli, którą on tylko co tak starannie dopasował, a który można było z łatwością wyciąć przedtem. Materyał wszakże był gruby i opierał się narzędziu.

„Monsieur de Paris“ doglądał tych przygotowań i nie zdawał się być zadowolonym; otwór nie był wystarczającym: winien mieć szerokość dłoni. Starzec podagryczny rozpoczął na nowo i odciął jeszcze wielki kawał płótna.

Górną część grzbietu odsłonięto; można było ujrzeć łopatki. Troppmann podniósł je do góry; było zimno w tej izbie. Starzec przystąpił do włosów. Położył rękę nabrzmiałą na głowie młodzieńca, który ją pochylił niezwłocznie z uległością; strzygł prawą ręką.

Pukle włosów ciemno-blond zsuwały się po ramionach i opadały na ziemię: jeden stoczył się aż pod moje nogi.

Troppmann trzymał wciąż głowę pochyloną z rezygnacyą; ksiądz odmawiał pacierze jeszcze wolniej.

Nie mogłem oderwać wzroku od rąk skazańca, tych rąk zczerwienionych krwią niewinną a obecnie skrzyżowanych, bezwładnych.

Ale nadewszystko oczy moje z upodobaniem zwracały się do tej szyi białej i delikatnej... tej szyi dziecka... wyobraźnia moja rysowała na niej mimowolnie linię poprzeczną...

Tam, myślałem..., za kilka minut... spadnie ciężka siekiera... rozedrze kość pacierzową, przetnie mięśnie i nerwy... to ciało nie zdawało się oczekiwać podobnego losu..., było takie młode... takie białe... takie błyszczące... takie pełne życia...

I mimowoli zadawałem sobie pytanie: o czem myśli w tej chwili ta głowa pochylona? Czyliż mówi sobie nieustannie z zaciśniętymi zębami: „nie, nie osłabnę!“ Być może przesuwają się jej w wirze wspomnienia małoznaczące przeszłości. Być może widzi w podrygach konania którąś ze swych ofiar. Być może, że ta głowa mówi sama do siebie: „Dotąd, to jeszcze nic, zobaczymy potem...“ I powtarzać to będzie, dopóki się śmierć na nią nie zwali i nie będzie już środka wymknięcia się jej...

Starzec strzygł ciągle. Włosy krzyczały pod nożycami... ta operacya się skończyła. Troppmann wstał i wstrząsnął głową...

Zazwyczaj, w podobnej chwili, skazańcy, miewający jeszcze siły do mówienia, zwracają się z ostatnią prośbą do dyrektora więzienia, oddają resztki pieniędzy i proszą go o uregulowanie swych długów. Dziękują strażnikom i oddają obecnym dla doręczenia rodzicom ostatni list lub pukiel włosów... Troppmann nie należał do tej kategoryi, gardził tymi „sentymentami;“ nie wyrzekł ani słowa i czekał w spokojnem milczeniu.

ków, te zaś, spadłszy do wody, zamieniają się w ptactwo wodne. Lecz wyobraźnia nie zatrzymała się na tem; przyozdobiła zamienianie się w wilków, tygrysów itp. praktykami wiedźmowskiemi. Tak, dla przyobleczenia się w skórę wilczą, wypadało zawrzeć umowę z dyabłem, smarować się jakąś tajemniczą pomadą... Przeglądając sprawozdania ze śledztw nad wilkołakami, co chwila potykamy się o podobną wiązankę guseł, zabobonów i przesądów. Ale stanowi ona nawarstwowanie późniejsze, gdy sam fakt obłudy podciągnięto już pod odpowiednią kategoryę; smarowania się pomadą mogły istotnie być w użyciu i jeśli zważymy, iż epileptycy należą do osób wrażliwych na poddawanie hypnotyczne, będziemy mieli prawo stosownym praktykom przyznać znaczny udział w sprawie obłędu, jako czynnikom, powodującym samohypnotyzacyę i opętanie się powziętą ideą.

Ciekawymi są niektóre szczegóły, rzucające sporo światła i na wywiązywanie się ludożerczych grup plemiennych. W końcu XVI w. w jednej z górskich miejscowości Jury wybuchła epidemia wiedźmowska, która zakończyła się zresztą zwykłym w owych czasach trybem: spaleniem na stosie obwinionych. Wśród oskarżonych widzimy jedną całą rodzinę, bezwarunkowo chorobliwą. Siostra sądziła, że zmieniać się może w wilczycę: na czworakach przebiegała pola i została doraźnie rozszarpaną przez tłum na kawały, gdy usiłowała porwać dziecko. Jej brata i synowca oskarżono przed inkwizycyą jako wilkołaków, gdyż widziano ich nocami, już po wymierzeniu kary siostrze, przebiegających z wyciem i na wzór wilków okolicę; przy śledztwie przyznawali się otwarcie do duszenia kóz i picia jeszcze gorącej krwi; osadzeni w więzieniu, naśladowali wilków. Synowicę znowu obwiniono jako wiedźmę. Wszystko wskazuje, iż mamy tu przed sobą nienormalne usposobienie chuciowo-uczuciowe, przekazywane w rodzinie; o chorobliwości świadczy opis pewnych stanów, w które wpadali oskarżeni a najwyraźniej odpowiadający uśpieniu sonambulicznemu. Uzmysłówmy sobie teraz górskie doliny Jury i dotychczas odznaczające się obfitością kretynów i tępością umysłową mieszkańców, oraz, jak pozwalają przypuszczać badania antropologii kryminalistycznej, idącą równolegle nienormalnością usposobień uczuciowych i przewrotnością chorobliwą żądz, a zrozumiemy, jak zaraza wilkołacka, pod wpływem naśladownictwa, mogła się rozszerzyć. W wspomnianym procesie inkwizycyjnym, prócz owej rodziny, postawiono przed sądem mnóstwo wilkołaków, wymieniających z nazwiska swe ofiary, których zamordowanie stwierdzają przywołani rodzice. W ten sposób dzieje Europy dostarczają wątku do genezy ludożerstwa wśród czuanów, osiadłego ludu afrykańskiego, daleko posuniętego w sztukach życia. Kanibalizm ukazał się tu już w ostatnich czasach w następstwie zezwierzęcenia, spowodowanego przez bezustanne najazdy ze strony zulusów. Krok pierwszy uczyniły niektóre jednostki. Jedną opisuje Bowker; był to starzec 60-letni, okaz najwstrętniejszy rodzaju *homo sapiens* z oglądanych kiedykolwiek przez podróżnika, a będący przedmiotem zgrozy dla sąsiednich plemion, u których porywał dziewczęta 8—10-letnie. Za przykładem takich, bezwarunkowo chorobliwych jednostek, poszły zgłodniałe, wycieńczone i rozjątrzone grona liczniejsze. W każdym razie, dziedziczność zboczeń chuciowych jest rzeczą w praktyce uznaną przez różne grupy ludzkości. Kolbowie z Indyj przedgangesowych mordują osoby, podejrzane o zamienianie się w tygrysów, z całą rodziną; postępowanie to, jakkolwiek dzikie i odrażające, było praktycznem, bo usuwało możliwość przekazywania w spadku popędów, szkodliwych dla bezpieczeństwa społecznego.

W ten sposób wilkołactwo jest jedną z szat dziejowych, przybranych w wiadomej epoce historycznej przez zboczenia epileptyczne natury krwiożerczo-erotycznej. Powstało ono na podścielisku stosownych poglądów filozoficznych i lubo jest obłędem, przecież swego czasu było najwłaściwszem wytłomaczeniem faktów.

Lud. Krz.

ECHA MESYANISTYCZNE

w Literaturze polskiej.

I.

Zawiązki mesyanizmu—wiek XV i XVI.

Niema prawdopodobnie narodu, któryby jeśli nie stale, to w pewnej dobie rozwoju nie uważał się za wybrańca bożego, a swej krainy, choćby nią była Islandya lub Ziemia Ogniowa, za *omphalos ges* *) — jedyną ustroń na świecie i drogą perłę w koronie stworzyciela. Takie uczucie dumy, jakkolwiek przesadzone, jest zjawiskiem psychicznem, łatwem do wytłomaczenia, o ile wykwita ze świadomości usprawiedliwiających je faktów. Mogły Ateny urość we własnem mniemaniu do rozmiarów olbrzyma, patrząc na bohaterów z pod Maratonu i Salaminy, i smugi światła rzucające dokoła; mógł uwierzyć w swą siłę holender, gdy jedną ręką odpierał wytrwale „demona południa,“ drugą — wielkiemu gospodarstwu przemysłowo-handlowemu podwalinę zakładał; mogły wreszcie i hufce Sobieskiego stroić się pod Wiedniem w laurowe wieńce. Echo czynów dzielnych sięga w przyszłość daleko — do naśladowania długo zachęca i nawet w skarłowaciałych lub wykolejonych potomkach dumę odżywia narodową.

Zdarza się, że lud, mający za sobą bogate wspomnienia, schodzi, zanim dojrzał, z widowni politycznej. Przeszłość bezpowrotnie minęła, ale zostały po niej sny złote. Były magnat, w podartą ubrany siermięgę, otacza się nimi, zamyka oczy przed smutną rzeczywistością, a jeśli przywykł do mistyczno-religijnych dumań, sztandar swej sprawy na obłokach zawiesza: wiara uskrzydla w nim dumę, duma wiarę zabarwia, i niebawem staje przed oczami wtajemniczonych — niekiedy posępny, częściej świetny, a zawsze cudowny, imponujący męczeństwa lub tryumfu majestatem, gmach przyszłości narodowej, zbudowany przez proroka... na rozkaz Jehowy. Pierwowzory takich dróg myślowych torowali niegdyś wodzowie ludu żydowskiego. Nasi wieszczeromantycy z czwartego i piątego lat dziesiątka są najoryginalniejszymi podobno ich epigonami.

Nazwę kierunku (mesyanizm), nad którego rozwojem w literaturze polskiej zastanowić się chcemy, wymyślono dopiero przy schyłku pierwszej ćwierci naszego wieku (Hoene Wroński); ale metoda wnioskowania i budowania mesyanistycznego w dziejach umysłowości naszej głęboko i dalekosięgające zapuszcza korzenie. Główne jej rysy znamienne odbijają się już na kartach

*) „Pępek ziemi.“

Rzucono mu na ramiona krótką kamizelkę; kat ujął go za łokieć.

— Uważaj, Troppmann—przemówił pan Claude wśród ciszy grobowej... To chwila ostatnia: za kilka minut wszystko się skończy. Czy trwasz przy twierdzeniu, że miałeś spólników?

— Tak, panie, trwam — odrzekł Troppmann, a głos jego barytonowy, przyjemny i mocny wcale się nie zmienił. Skazaniec do słów tych dodał lekki ukłon, jak gdyby żałował, że nie może odpowiedzieć w duchu przeciwnym dla przyjemności swego interlokutora.

— Dobrze więc! Idźmy! — rzekł pan Claude.

Wyszliśmy na wielkie podwórze więzienne.

Za minutę—siódma; niebo zaledwie się rozjaśniło, mgła zaciemniała powietrze i zakrywała przedmioty.

Ryk tłumu wprawił nas w odrętwienie; były to krzyki bez końca, nieznośne, które się o nas obiły, zaledwieśmy przestąpili próg więzienia. Nasze towarzystwo raz jeszcze się przerzedziło, skierowaliśmy się jaknajśpieszniej ku wrotom; niektórzy zostali w tyle; ja sam, postępując zresztą z innymi, cofnąłem się w bok.

Troppmann postępował, wlokąc nogi; rzemienie krępowały go w chodzie.

Jakże mi się wydawał małym, młodym, prawie dzieckiem!..

Nagle, zwolna, jak paszcza, która rozwiera swe szczęki, wrota otwarły się przed nami; okrzyk zadowolenia wyrwał się z tłumu i potwór, który czekał na swój łup, gilotyna przedstawiła się naszym oczom, ze swemi dwiema belkami i nożem zawieszonym w powietrzu.

Zimno lodowe nas przeniknęło, zimno, które omiemal doprowadziło mię do omdlenia. Zdawało mi się, że wdarło się ono temi samemi drzwiami: nogi zachwiały się pode mną. Jednak patrzałem na Troppmanna; cofnął się wstecz i rzucił w tył głowę, kolano jego się ugięło, jak gdyby go ktoś uderzył w samą pierś.

— Zemdleje — ozwał się koło mnie jakiś głos.

Ale wrócił wnet do siebie i postąpił naprzód krokiem mocnym. Ci, którzy pragnęli widzieć jak spadnie głowa, wyprzedzili go, biegnąc. Nie miałem tej odwagi. Serce moje osłabło i zatrzymałem się w pobliżu wrót.

Widziałem kata, podobnego do wieży czarnej, zarysowującego się nagle po stronie lewej gilotyny: widziałem, jak Troppmann oddzielił się od grupy zaproszonych, których zostawił na dole, i jak wstąpił na wschody (dziesięć było stopni, dziesięć!...) Widziałem, jak się zatrzymał i spojrzał po za siebie; słyszałem, jak wymówił te słowa: „Powiedzcie panu Claude...“ Widziałem go na rusztowaniu; widziałem, jak dwu ludzi, na prawo i lewo, rzuciło się na niego, niby pająki na muchę; widziałem, jak szedł naprzód, z głową wysuniętą przed siebie i jak nogi jego się rzucały.

Ale tu odwróciłem się już i czekałem: ziemia się kręciła pode mną. Zdawało mi się, że czekałem wieki całe. Miałem czas zauważyć, że przy pojawieniu się Troppmanna krzyk ludu wybuchnął jak bomba i że po nim nastąpiła cisza z powstrzymaniem oddechu...

Przede mną stał szyldwach, młody chłopiec o różowych policzkach, zuch, silny... Widziałem, że utkwił we mnie wzrok z obawą i głupiem zakłopotaniem.

Widząc go, rzekłem do siebie: otóż to żołnierz, dziecię odległej wioski, należące do zacnej, uczciwej rodziny... Cóż mu to pokazują?

W końcu usłyszałem lekkie uderzenie, uderzenie drzewa o drzewo; właśnie opadło półkole wyższe naszyjnika, utrzymującego głowę skazanego w nieruchomości.

Następnie usłyszałem głuchy ryk; coś stoczyło się z hałasem i jękło... Rzekłbyś—zwierzę potężne, które ulżyło sobie wymiotami...

Nie mogę znaleźć innego porównania. Wszystko dokoła mnie ściemniało.

Ktoś chwycił mię za ramię; spojrzałem: był to G., pomocnik Claude'a, któremu, jak się następnie dowiedziałem, M. du Camp polecił czuwać nade mną.

— Jesteś pan bardzo blady... Czy chcesz wody? — zapytał, uśmiechając się. Ale podziękowałem mu i wróciłem na podwórze więzienia, które mi się wydało schroniskiem

prac historyczno-politycznych XV-go stulecia.

W pełnym zmyśleń pobożnych życiorysie św. Stanisława, napisanym wkrótce po kanonizacyi (1254), bezimienny autor (Piotr czy Wincenty z Kielc), podał spóźnioną o dwa blisko wieki wiadomość, że w swoim czasie jacyś zakonnicy świątobliwi mieli objawienie o grożącym Polsce Piastowskiej rozkładzie politycznym i o jej odbudowaniu po upływie stuleci — na podobieństwo ciała męczennika, które z kawałków cudem się później w jednolitą zrosło postać. Baszko Godzisław, uzupełniając Bogusława, przepisuje ten szczegół ze współczesnej biografii i, jako niepołączony z główną osnową dodatek, umieszcza w nawiasie. We dwieście lat potem, gdy w znacznej mierze ziściło się już widzenie anachorety, a na ziemicy, adoptowanej przez Jagielonów, rozliczne szalały burze — gdy husytyzm z katolicyzmem i władza świecka z duchowną, możnowładztwo z monarchą brało się za barki, gdy Litwa wrogą względem Polski przybierała postawę, a energicznemu królowi przypadło w udziale to skłócone żywioły godzić i zjednoczenia państwowego dokonywać (unia z Koroną ziemi Bełzkiej, Płockiej, Płońskiej, Sochaczewskiej itd.), to potęgę dynastyi krzewić i z nieprzyjacielem zewnętrznym (krzyżakami, Maciejem Korwinem) walczyć; gdy śród wiru niepogodzonych pierwiastków i wobec grożącego coraz bardziej ojczyźnie a kościołowi od ścian wschodnich niebezpieczeństwa — wiele jednostek ubłogosławionych poczęło w krainie Piasta *„woń świętości“ dokoła rozlewać* (Kazimierz królewicz, Jan z Kąt, Szymon z Lipnicy, Jan z Dukli, Władysław z Gielniowa) — nieoceniony skądinąd, arcysumienny odtwórca epoki, Długosz, z jednej strony od prądów czasu silnych doznając wrażeń, z drugiej — zachwycony urokiem wróżby, co cześć pośmiertną św. Stanisława, mitycznego patrona lechitów na polach grunwaldzkich, z dolą narodu tak zręcznie kojarzyła, zgiął przed nią kolano i już nie jako nawias, lecz jako oś obrotową, ideę przewodnią, główną intrygi opatrznościowej sprężynę wplótł w swe szczegółowe w dziejach polskich opowiadanie. Wierzy on w to mocno i dowieść usiłuje *), że podział kraju po śmierci Krzywoustego był koniecznem, z wyroków nieba, następstwem dokonanej przez Szczodrego pomsty, a długa, tkwiąca w upokorzeniu politycznem i klęskach społecznych pokuta — przyczyną zapowiedzianego w sposób mistyczny późniejszego odrodzenia, które się widomie w ciągu wieków spełnia. Tym sposobem uznany został i rozwinięty na tle obrazu, śród szerokich ram naszej historyi, jeden z głównych pierwiastków przyszłego mesyanizmu: wiara w posłannictwo pokutującego ludu i w osobliwą nad nim opiekę bożą.

*) *Jana Długosza dziejów polskich ksiąg dwanaście*, przekł. Mecherzyńskiego, t. I. str. 339.

Mniej ważnym bezwątpienia w piśmienniczym skarbcu, ale w stosunku do naszego przedmiotu wcale okazałym pomnikiem jest mowa, jaką w r. 1467 miał wobec apostolskiej mości Pawła II, znakomity prawnik, humanista ze studyów, husyta z przekonań — zwolennik monarchy (należący do zupełnie innego, niż Jan z Niedzielska, obozu), Ostroróg, podówczas kasztelan międzyrzecki *). Poselstwo, do którego ten śmiały dostojnik należał, złożyć miało papieżowi oficyalny wyraz posłuszeństwa, czyli t. z. obedyencyi (po świeżem Pawła na stolicę apostolską wstąpieniu) oraz wyjednać sankcyę zawartego z krzyżakami traktatu. Widać z toku mowy, że znakomity autor pierwszego memoryału o naprawie Rzeczypospolitej nie liczy na dobry swych zabiegów skutek. To też ogranicza się na wysławianiu potęgi państwa, dzielności współziomków, a nadewszystko zasług apostolskich domu Jagiełłowego. Wielka duma narodowa jaskrawo, ale zarazem majestatycznie odbija się od form stylowych udanej pokory. „Jeżeli Cycero — powiada Ostroróg — któremu wszyscy ustępujemy, gdy przemawiał wobec człowieka, lękliwym się okazał, jakżeż ja drżeć nie mam wobec majestatu świata. Potylekroć widywałem mnogie tysiące nieprzyjaciół i mnogie ich proporce, co roznosiły na wszystkie strony postrach śmierci, nigdy mię one jednak, wyznam, tak nie przeraziły, jak wy, bezbronni i nigdym się tak nie uląkł szczęku broni, głosu surm i huku strzałów, jak właśnie milczenia waszego. Chociaż tak jest, a nie inaczej, jednak duchu mój, idź naprzód, nie lękaj się, pomnij, że cię wydała Polska...“ Po takim wstępie mówi o początku swego narodu, według mitycznych wskazówek kronikarskich, następnie wyświetlić się stara jego wielkość i siłę niezwyciężoną, a w końcu ze szczególną akcentuje mocą zerwane przez królów polskich w ciągu stulecia świetne na polu cywilizacyi chrześciańskiej wawrzyny. „Jakiejże chwały w niebie — mówi — jakiejże sławy na ziemi godzien jest ś. p. Władysław, ojciec dziś panującego, który liczne ziemie ruskie, Żmudź i Litwę nawrócił na wiarę prawdziwego Boga. Sądzę, że jest on *wyższym od wielu apostołów*, jeśli się tak powiedzieć godzi, a przynajmniej porównać go z nimi można. Ci bowiem, nawróciwszy ludy, sami ustąpili z pola — później nawróceni podlegali napadom; ten zaś, wraz z bratem Witoldem, nawróconą przez się ludność skutecznie od napadu sąsiadów bronił...“ Bohatera z pod Warny nazywa mówca *męczennikiem urodzonym*, „wstępującym w ślady ojca swego, *patryarchy*.“ Są to wszystko ważne określniki, zdradzające wyniosły nastrój ducha patryoty, który spogląda na swą kolebkę, jako na orle gniazdo i wyjątkowe jej a podniebne przypisuje posłannictwo. Przemowę tę uważać naturalnie trzeba nie za powszedni, codzienny, lecz świąteczny chleb duchowy: autor może umyślnie nałożył barw, aby purpurą potęgi i zasługi błysnąć przed oczyma stronnemu orędownikowi i zmusić do narodowego uznania słuszności; ale bądź co bądź, tkwi w niej niezamaskowany zawiązek przyszłej idei archanielstwa i męczeńskiego namaszczenia „Chrystusa narodów.“ Głos Jana Ostroroga na szczególne zasługuje podkreślenie: od natchnień czysto religijnych prawie niezależny, obcy wróżebnej kombinacyi wyobrażeń, widoków przyszłości przed nami nie odsłania — wieki minione tylko i teraźniejszość pochodnią dumy obywatelskiej rozwidnia: w świeckim przemawiając tonie, jest prostem przeciwstawieniem wywodów Długoszowych; bo chociaż, podobnie jak one, uwydatnia ścisły między kościołem a narodem związek, to jednak w stosunku dwulicowej zależności, odtworzonym przez prawnika-humanistę, ramię katolickiego na kresach wschodnich szermierza pełni funkcyę głównej kolumny, podpierającej bazylikę Piotrową. Uznanie wielkiej misyi, ja-

*) *Jana Ostroroga żywot i pismo o napr. Rzeczyp.*, studyum pr. A. Pawińskiego. Warszawa, 1884. Mowa Ostroroga (tekst łac. z przekł. pol.) od str. 182 do 192.

---

od okrucieństw, spełnianych za jego wrotami.

Towarzystwo nasze zebrało się na nowo w kurdegardzie, w pobliżu wrot, dla pożegnania się z naczelnikiem więzienia i pozostawienia tłumom czasu na rozsypanie się. Wszedłem tam także i zebrałem pewne szczegóły. Troppmann, już przywiązany do deski, odrzucił głowę w bok, nie weszła więc do naszyjnika; kaci, chcąc ją w nim osadzić, musieli ją ciągnąć za włosy i Troppmann ugryzł wtedy jednego z nich w palec. Dowiedziałem się nadto, że niezwłocznie po straceniu, gdy ciało, wrzucone do furgonu, spiesznie się oddalało, dwu ludzi przedarło się przez szpaler żołnierzy i zbliżywszy się do gilotyny, zmoczyło swe chustki we krwi, która przeciekała przez szpary desek.

Słuchałem tej rozmowy jak we śnie; byłem bardzo zmęczony... Wszyscy, wydawało się, byli znużeni, ale zarazem jakby doznali ulgi; sądziłbyś, że ciężar spadł im z barek. Ale nikt z nas, powiadam: nikt nie wyglądał na człowieka, któryby miał poczucie, że towarzyszył aktowi sprawiedliwości społecznej; wszyscy odwracali się od tej myśli i każdy odtrącał od siebie odpowiedzialność za to zabójstwo.

Skłoniłem się przed naczelnikiem więzienia i odszedłem z Maks. du Camp. Cały potok istot ludzkich, mężczyzn, kobiet, dzieci, rozlewał przed nami swe fale, brudne i brzydkie. Wszyscy ci ludzie milczeli. Bluzy jedynie zapytywały siebie niekiedy: „Dokąd idziesz?“ „A ty?“ Ulicznicy od czasu do czasu witali gwizdaniem przejeżdżające koloty.

Jakże wszystkie te twarze były ponure, senne, tępe! Co za wyraz znudzenia, zmęczenia, niezadowolenia, rozczarowania, a nadewszystko niedającego się określić gniewu, złości! Nie widziałem pijanych; zapewne sprzątnięto ich, albo się cofnęli dobrowolnie dla przespania się.

Życie codzienne chwytało na nowo cały ten tłum w swe zębate koła. Dlaczego ci ludzie wyrzekli się swych nawyknień dla tej nocy? Z jakiemi uczuciami wracali do pracy?

Po drodze rozprawiałem z Maksymem du Camp o tem, cośmy widzieli.

Jakiem prawem dają podobne widowiska? Dlaczego zachowują zwyczaje barbarzyńskie wieków średnich? Co za postępowanie bezecne? Co znaczy ta „toaleta,“ te przechadzki po korytarzach i schodach?

A samą karę śmierci jakże usprawiedliwić?

Widzieliśmy, co za wrażenie wywiera to widowisko na tłumach.

Powiem nawet, że jest ono zresztą tylko złudzeniem, bo z całego tego siedemdziesięcio-tysiącznego tłumu, być może pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt, co najwyżej, ludzi mogło coś widzieć w niepewnem świetle poranku i po przez szeregi żołnierzy i jeźdźców.

A inni? Co za korzyść odnieśli z tej nocy demoralizującej, z tej nocy rozpustniczej dla wielkiej ich liczby?

Myślę o tym młodym robotniku, którego obserwowałem w ciągu kilku minut; czy jest kto, co uwierzy, że zabierze się on do pracy z większą energią, z silniejszą nienawiścią do próżniactwa i występku?

A ja sam, cóż wyniosłem ze wzruszeń tej nocy?

Mimowolne uczucie zdziwienia wobec człowieka, o którym wiedziałem, że był zabójcą, potworem niemoralności, dlatego, że umiał stawić czoło śmierci! Czy takim jest rezultat, do którego zmierza prawodawca? Gdzie jest ten sławny „cel moralny“ egzekucyj, któremu tyle razy zadawały kłam fakty?

Ale dość rozprawiania, przedmiot ten zaprowadziłby mię zbyt daleko. Wszystkim wiadomo, że kara śmierci jest jedną z kwestyj palących, które zajmują dziś ludzkość.

Byłbym szczęśliwy i wybaczyłbym samemu sobie tę noc spędzoną przed gilotyną, gdybym mógł osiągnąć to, aby te egzekucye przestały być nadal widowiskiem publicznem.

Z wydania francuzkiego przełożył
Józef Szyff.

ką naród spełnia, zabarwione zlekka łuną husyckiej od Watykanu niezawisłości, nadaje utworowi Jana z Ostroroga oryginalną cechę pierwowzoru błędnych, ale serdecznych poglądów dziejowych, wygłaszanych z katedry profesorskiej w cztery blizko wieki później, przez najsłynniejszego na Parnasie polskim wieszcza.

Wiek szesnasty, owo najszczęśliwsze obok czternastego, w historyi naszej stulecie—pomimo trapiących południowo-wschodnie granice napadów tatarskich i wołoskich, pierwszych zapasów ze wschodnim, a wzrastającym w potęgę sąsiadem, wewnętrznych o dogmaty i przywileje stanowe zatargów, nieładu wreszcie i pierwocin rozkładowych, rysujących się na tle trzech bezkrólewi — nie przedstawia ani jednej chwili krytycznej, któraby organizmowi państwowemu bliżką groziła ruiną. To też w danym okresie nie widać nowych związków mdłej rośliny, co kiełkuje śród dusznej atmosfery na krwą zbroczonych polach, a bujnie na grobach się krzewi. Oprócz względnego błogostanu i swobody ruchów, jakiej podówczas doznawał stan szlachecki — jedyna, powołana do czynu warstwa społeczeństwa — rozwojowi embryonu mesyanizmu, uwarunkowanemu z konieczności pewnem zasklepieniem etycznem, nie sprzyjały nadto ciągłe z resztą Europy stosunki, zawiązane około r. 1520 pod hasłem krytyki wierzeń religijnych i przebudowania Kościoła. W przyświecających ogółowi umysłach tendencye praktyczne poczęły odnosić przewagę nad marzycielstwem, racye rozumowe nad błędnymi ślepej wiary ogniskami, ideały helleno-rzymskie nad starohebrajskimi. Zatargi wszakże religijne, towarzyszące niepomyślnemu w skutkach dążeniu do reformy, przygotowały zbrojownię dla przyszłych wieszczów-jasnowidzów, bo otworzyły narozcież i spopularyzowały skarbiec „mądrości duchowej.“ Z pomiędzy mnogich prac, kuszących się o przyswojenie literaturze ojczystej wschodnich kwiatów „słowa bożego“ — na szczególną zasługuje uwagę dzieło Jana z Czarnolasu — pierwsza w języku polskim Psałterza Dawidowego przeróbka. Utalentowany pieśniarz-humanista, sam daleki od snów mistycznych i nadobłocznych wzlotów, podaje odległym następcom wzór dogodnego dla jeremiad i widzeń proroczych kształtu; uczy przykładem, jak z prastarej hebrajskiego spuścizny korzystać — jak ton semickiego oryginału do słowiańskiej naginać skargi, a gotowemi odwiecznego pomnika figurami rodzime kreślić obrazy. Ilekroć ze stanowiska literacko-narodowego spoglądamy na to piękne dziecię duchowe mistrza poetów Zygmuntowskich, myśl płynie w kierunku czasu i mimowolnie stają przed naszemi oczami *Psalmodya* Wespazyana z Kochowa, a za nią cały szereg innych, coraz samoistniejszych podobizn przypisywanego Dawidowi śpiewnika — aż do *Skarg Jeremiego* i *Melodyj biblijnych* wieszcza Kornela. Chociaż między alfą a omegą tego abecadła poezyi mesyanistycznej znaczna zachodzi różnica — bo w wolnem tłomaczeniu trzeźwego klasyka w przyszłości gazą zwierciadło odbijają się poprostu niektóre tylko osobistych jego zawodów i klęsk społecznych rysy — to wszakże odmienne jednego typu okazy, niby ziarnka różańcowe, łączy wspólna nić — nietylko wzoru, ale i właściwego piewcom lechickim temperamentu.

Pod koniec XVI stulecia, w zaraniu reakcyi katolickiej, gdy pod błyszczącymi potęgi i sławy bojowej blichtrami rysowały się już okazałe ściany budynku Rzeczypospolitej, występuje na widownię Skarga, piastun tej samej niemal, co i Długosz idei. Oparta na kulcie św. Stanisława, stara przepowiednia, której najgłośniejszym heroldem był znakomity kronikarz, z chwilą przyłączenia Mazowsza do Korony (1526) utraciła racyę bytu i przeszła w dziedzinę pobożnych wspomnień. Kaznodzieja dworu Zygmunta III, mistrz gromowładny żywego słowa, zwolennik ograniczonej prawami królewskości, trybun uciśnionego ludu, apostoł przebranego w togę obywatelską jezuityzmu — nową na tory marzeń dziejowych wprowadza wróżbę. Jak niegdyś targnięcie się monarchy zbrojną ręką na „męża świętego,“ tak obecnie odstępstwo znacznej śród narodu drużyny od wiary katolickiej, krzewienie i tolerowanie herezyi — ma ściągnąć z nieba pioruny, co organizm państwowy zdruzgoczą. Gromi wprawdzie Skarga w swych kazaniach sejmowych i inne grzechy (nieuszanowanie majestatu królewskiego, ucisk poddanych, rozpustę); ale kacerstwo, jako *najgłówniejszy z występków* i źródło wszelkiego złego, w każdej groźbie oratorskiej pod pręgierzem stawia. „Najpierwsze są grzechy — mówi, *wzywając do pokuty* — i najszkodliwsze przeciw Panu Bogu i czci majestatu jego. Zelżony i zbluźniony jest w tem królestwie Pan Bóg nasz, w trójcy jedyny. Z ojców, starych chrześcian, wyszli synowie niewierności... Inne też sekty — luterskie, kalwińskie i drugie im równe — nie są lepsze; bo do bluźnienia trójcy przenajświętszej fundamenty w pismach swoich założyły...“ Genialny siewca jadowitego ziarna nietolerancyi wrogo spogląda na ustawy (z r. 1563 i 73), które obalają jurysdykcyę duchowną i służą akatolikom za tarczę od rózgi a miecza prześladowczego. Zbrojny w cytaty z ewangelistów i proroków, narodowi swemu, jeśli się dalej ku herezyi chylić będzie, niechybną przepowiada zagładę. Sięgając z jednej strony w przeszłość, aż do początków „zarazy“ reformatorsko-religijnej na gruncie polskim, z drugiej — w nieoznaczoną pod względem chronologicznym przyszłość, buduje gdzieś w obłokach, na tle poczerpniętej z Pisma św. przypowieści (o gospodarzu, ogrodniku i bezowocnem drzewie figowem), niepozbawiony uroku mistycznego, plan upadku Rzeczypospolitej. Cały ten tor dziejowy, niedający się ująć w ściśle ramy czasu, rozkłada mówca na pięć okresów, które alegorycznie nazywa „latami„: „pierwszy rok jest łaskawego upominania, drugi — przykładów, trzeci — ojcowskiego karania, czwarty — doznawania obietnic i ślubów naszych, piąty rok jest zguba nieodwłoczna, w której już żadnego zmiłowania i przewłoki nie naleźć.“ Chwila, gdy Jeremiasz polski księgę wyroków bożych przed rzeszą kluczem biblijnym otwiera, patrząc na swój naród, jako na nową „ludu wybranego“ edycyę, przypada na „rok czwarty,“ w którym gospodarz drzewa figowego, uproszony przez „świętych ogrodników,“ zawiesza klątwę ostateczną i czeka poprawy. Roślina krzewi się bujnie i opływa w soki ożywcze, choć już nad nią chmura piorunowa ciąży. Niebawem, z „rokiem piątym,“ nadejdzie straszny dzień gniewu pańskiego. Drzewo bezpłodne upadnie pod ciosem śmiertelnym. *Najpiękniejsze* tylko jego latorośle cudownym sposobem ocalone zostaną od zagłady, aby później na danym gruncie w charakterze pogrobowców służyć mogły idei gospodarskiej. „*Ci tylko katolicy* — głosi Skarga — *pomsty bożej ujdą, którzy heretyków, ile i jak mogą, nie cierpią.*“ Herezya tedy, głównie tolerancya, ściąga z nieba na państwo mściwą stopę anioła-tępiciela; ona je (zdaniem kaznodziei) pogrzebie w popiołach, na których z czasem wyratowani z ogólnej topieli, siać będę i zbierać bogate plony wierni synowie kościoła.

Porównywając dwa systemy wróżebno-dziejowe — Długosza i Skargi — wyznać musimy, że drugi z pomiędzy nich jest wobec pierwszego wyrazem postępu, zarówno pod względem logicznym, jak i moralnym. Tam cała Polska, długi szereg pokoleń cierpi w ciągu wieku za cudzą, królewską winę; tu — herezya, niby epidemia etyczna, sprowadzić ma katastrofę, jak choroba skon sprowadza. Stary wszakże, piastowsko-jagielloński cykl wróżebny imponuje swoim fatalizmem, podczas gdy tu — czynnik „wolnej woli“ a „łaski“ to i owo jeszcze zmienić może w mistycznej przyszłych losów tkaninie. Oba wreszcie poglądy wyznaczają lechitom, jako ludowi wybranemu, blizkie u podnóżka Jehowy miejsce i tchną gorącą wiarą w wieczysty ślub narodu z kościołem.

(D. c. n.).

Antoni Gustaw Bem.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Wincenty Rapacki, *Bogusławski i jego scena*, widowisko w 5 aktach. Warszawa, 1888. *Na krańcach*, powieść w 1 tomie, przez Natana Zylbersztajna z Wilicy. Łódź, 1887.

Jak w ulu wrzało w Krakowie nazajutrz po przedstawieniu sztuki p. Rapackiego; że jej nie widzieli, żałowali nawet ci, których przejmowała wstrętem buda jarmarczna, z przedsiębiorcą wiecznie stojącym u kasy, zwaną teatrem.

Bez otoczenia brudnych ławek i cuchnących zdala kulis, utwór ten robi inne wrażenie. Czytając go, trudno określić dokładnie, jak wypadłby na scenie i to scenie porządnej, ale to pewna, że myśl zawiera piękną i wdzięczną. Maluje przeszkody i wrogów, z jakimi walczyć musiał twórca sceny polskiej, Wojciech Bogusławski, zuchwale biorąc się do wielkiego dzieła w społeczeństwie sfrancuziałem i wśród ludzi głuchych na potrzebę wzmocnienia narodowej idei i uszlachetnienia obyczajów. Wzięty we dwa ognie, kamerdynera królewskiego a starosty piaseczyńskiego Ryxa—z drugiej zaś strony prostactwa i staroszlachetczyzny, dla której aktor — to błazen, a sztuka — to komedya, bohater zmuszony jest uciekać z rozbitkami zbuntowanej trupy na Litwę, zaś miejsce jego zajmuje gromada sprowadzonych włochów. Ten, od kogo wszystko zależy, Stanisław August, niedołężny jest w zdaniu swem i czynie i teatr swojski przepadłby z kretesem, gdyby nie orędownictwo światłej i miłującej kraj księżniczka Amelii. Ona to, wziąwszy do pomocy brata Stanisława i skaptowawszy szlachtę, przeprowadziła na sejmie wielkim zniesienie monopolów i obezwładniła tym sposobem chciwca i spekulanta Ryxa. Odnosząc zwycięztwo formalne, scena Bogusławskiego święci tryumf istotny, bo świetna gra jego artystów, Owsińskiego, Nacewicza, Hempińskiego, Sierakowskiej, Bawrowskiej potężnie działała na niewykształconych widzów; dramaty, którymi partya cudzoziemczyzny pogardzała, przenosząc sztuki zabawne, pobudzały do łez, wywołały zapał i wreszcie sam król-kompars mianuje dyrektora reżyserem nadwornym.

Prawda, że pomysł ładny? Nie trzeba go jednak mierzyć skalą, stosowaną zwykle do dramatów i komedyj, lecz uważać po prostu za rodzaj oratoryum, ułożonego na fakt dziejowy większego znaczenia. Inaczej bowiem okazałby się kompozycyą dosyć słabą. Główny szermierz idei występuje w draperyi pseudo-klasyka, z rękami patetycznie wzniesionemi, z deklamacyą na ustach, pełen emfazy i górnolotnych wyrażeń, któremi chce pokonać swego przeciwnika i zjednać na nowo rokoszujących aktorów. Siły wielkiej nie ma, owszem zdradza w mowie pewną słabość, która w podejrzenie podaje jego hart i wytrwanie w walce. Nie tyle on sam zresztą boryka się, bo nawet możności do tego nie ma, ile samo ziarno, rzucone przezeń, wydało owoc. Przyjaciele i bracia po duchu wspólnemi siłami dźwignęli walący się gmach. Bohaterem jest tedy raczej idea sama, niż jej rzecznik. Jak na pewne uroczystości układa się ody i marsze — tak, powtarzam, p. Rapacki napisał hymn muzie

Melpomenie, że spłoszyła arlekinów. Nazwawszy go „widowiskiem“ dowiódł, iż innego zamiaru chyba nie żywił i od zarzutów zawczasu się ubezpieczył.

Ale niemniej przeto dytyramb ten zajmuje i zaciekawia każdego, kto pojmuje całą wagę wyrażonej w nim idei szerszej — bodaj nawet czy nie za szerokiej. Możnaby mniemać, że odrodzenie sceny odrodziło na wieki naród — taka wrzawa panuje w *Bogusławskim* z powodu zachwiania się Ryxa. Ono nawet samemu teatrowi przyszłości nie zapewniło. Dziś widownie teatrów świecą na *Hamlecie* lub *Lirze* takiemi samemi pustkami, jak sto lat temu, a farsa à la *Mikado*, znosząca przedział między sztuką a pajacostwem, widzom łzy szczęścia nadziemskiego wyciska. Gdyby ową miarę wygórowaną, jakiej używa autor, zastosować do warszawskiej np. sceny, wypadłoby, że w dni, kiedy włosi dają oporę, jest ona szopką, a w inne—świątynią piękna, szkołą moralności, wzorem patryotyzmu...

Nader mile pstrzy się wreszcie *Bogusławski* z życia pochwyconą gwarą i burszeryą zakulisową, z jej miłostkami, dowcipami, dobrym apetytem, intryżkami itp. Częstują się wzajem zaszczytnemi bardzo przezwiskami i cytatami z autorów, których rolami są przejęci. Tworzy się hałas i ożywienie, tchnące jeszcze klasycznością, ale barwne i ponętne. Jest nieźle narysowaną i wielce sympatyczną postać suflera Skrzypolskiego — inne zlekka tylko i niewyraźnie szkicowane; nie brak komizmu po przeprawie promem i na uczcie niedoszłych topielców. Naturalnie obok Bachusa nie zapomniał p. Rapacki o Erosie. Jeden z drużyny okazuje się przebranym synem kasztelana trockiego, gbura i wroga teatru, a w dodatku pała afektem dla jednej z kolężanek. Starego jednak *Ojciec familii* Diderota, odegrany w Wilnie, przebłagał i najżyczliwiej dla artystów usposobił. A gdy traf zrządził, że mało co nie pochłonieni przez rzekę znaleźli się na jego posiadłościach — przeprasza ich, podejmuje gościnnie, a nawet demaskującemu się synowi w końcu daje błogosławieństwo na związek z aktorką. Bajka wygląda po staroświecku i dobrą byłaby dla wieków średnich — dziś któż się nią rozczuli!

Zupełnie co innego *Na krańcach.* „Gdy różnorodne żywioły fermentują w duszy człowieka, gdy mozajka uczuć i wrażeń drga w jego wyobraźni i przegląda się w niedościgłym ideale, jak przy wschodzącem słońcu krople rosy na wyłaniającej się w przestrzeni tęczy, które powiew lekkiego zefiru w następstwie z gałązek zwalnia, tak i myśli nasze i uczucia kołyszą się w duszy i wyobraźni, aż skrystalizują się w jednem westchnieniu, w jednej modlitwie u stóp Przedwiecznego. To też od razu ryki Reb Szymona i jego skoki w modlitewni zbudziły rodzinę Mizerów z ogólnego przygnębienia.“

Czy nie wspaniałe? Albo jeszcze: „Są chwile w życiu człowieka, w których charakter jego i niezłomne postanowienia pod wpływem imaginacyi i niezatartych wrażeń, leżących w psychicznym(!) ustroju naszej duszy, ulega silnym wstrząśnieniom, a nieraz zostają zupełnie wykolejone?“

Tyś myślał pewnie, że takie cudne rzeczy można tworzyć tylko w Warszawie — otóż nie: Wiślica nie ustępuje jej wcale—dowodem p. Natan Zylbersztajn.

Lecz przytoczone ustępy słabe zaledwie dają pojęcie o tej nowej gwieździe naszej nowelistyki. Posiada ten artysta nieposposlity na palecie swej barwy przedziwne. Np. „Nasz Chaimek wracał z porządnym guzem na czole. Guzy te poczciwa matka zwykle *ostrzem* od noża prostowała.“ Ja wiem, że za podobne kwiaty w języku—nawet uczniowie szkół elementarnych dostają *płazem* linii po łapach. Panna Sydonia Zielińska była „o *hebanowych kruczych* włosach, gęstymi *kędziorami* spadających w nieładzie na jej śnieżne ramiona, o ustach koralowych, *otoczonych cudnemi rzędami białych perel?*“ Jestem pewien, że gdybym żakiem w taką fantazyę się zabawił, „pan“ by się postarał, ażeby nietylko dokoła ust, ale nawet w samych ustach nic zostało mi ani jednej perły.

Treść całkiem licuje z formą. Żydek małomiejski, z zacofanej pochodzący rodziny, wykształca się własną energią i pracą na porządnego człowieka i „mecenasa“—a potem poślubia piękną dziewoję z dobrego towarzystwa— p. Zielińską. Ona mu odpłaca wzajemnością; czytelnik zostaje w mniemaniu, że młodzieniec przechodzi na łono chrystyanizmu i w tem szuka tendencyi: potępiającej lub chwalczej. Nic podobnego, chociaż bohaterka „przeczuwała instynktem przepaść bez granic, labirynt bez wyjścia i drogę bez celu“ —cel jednak tam był bardzo jasny— słyszymy z ust, zapewnie otoczonych cudnymi rzędami czarnych pereł v. wąsów: „Matka moja nie wiedziała o tem, że oprócz tego, iż jesteś aniołem, należysz także i do mej wiary.“ Co to jest takiego?? Jaki augur tę tajemniczą mowę wytłomaczy?

Na bruku wielkiego miasta, jak nasze, tuła się zawsze garstka izraelitów wykolejonych, ludzi krzykliwie rozprawiających, połykających z gazet całe szeregi imion własnych, szumnych wyrażeń i kwiecistych frazesów; nieodstrychnięci jeszcze od swych gniazd, nie zespoleni z lepszemi warstwami, samoucy, umysły chaotyczne i natrętne — cierpią oni przedewszystkiem na autoromanię. Jej to płodem musi być epopeja *Na krańcach.*

Charakterystykę tego smutnego objawu niech uzupełni jeszcze wzmianka, że p. Zylbersztajn kazał wydrukować w nagłówku: „powieść w jednym tomie“—acz całe „dzieło“ ma zaledwie 46 luźnych stroniczek. Za tę szczupłość rozmiarów jednak nie mamy do niego najmniejszej pretensyi — gotowiśmy nawet za przykład go stawiać. Zarówno też wypada złożyć mu dzięki, że pracę swą opatrzył na końcu datą: „Łódź, dnia 28 grudnia 1886 r.“. Gdy nie ona, gdyby nie to dokładne oznaczenie czasu, mógłby ktoś nieświadomy pomyśleć, że p. Natan Zylbersztajn jest bohaterem Lessingowskiego *Natana mędrca.*

Cezary Jel.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Proces karnawałowy.—Prokurator i obrońca.— Korzyści dwu stronnictw. — Ilustrowana przykładami bajka o Pawle i Gawle.—Tupania butami i strzelanie z pistoletów. — Uprawniony sposób podnoszenia ducha. — Duch w nogach i głowie. — Psalm *Wszechświata* o obserwatoryum.— Co robić. — Najbliżsi sąsiedzi w posiadaniu fantu kłopotliwego.— *Wisła* pod nowem kierownictwem. — Działalność p. Lewickiego.— Encyklopedya zakładu pogrzebowego.

W obronie karnawału, któremu p. S. wbił sztylet po rękojeść w *Gazecie sądowej*, wystąpił i rozpłatał napastnika p. Libicki w *Kuryerze codziennym.* Jak widzieliśmy, pierwszy z nich usiłował dowieść, że męczennik hałaśliwych zabaw nocnych ma prawo do skargi przed sądem; drugi nietylko zaprzecza istnienia takiego prawa w kodeksie, ale nawet w etyce. „Egoizm nasz — powiada on — chyba nie sięga tak daleko, ażebyśmy nie wyrzekli się jakiejś nocy na rzecz całego grona osób, które, wobec powszechnego narzekania, pesymizmu, upadku ducha i zniechęcenia, pogodniej jakoś i z większą wiarą patrzą w przyszłość.“ Ponieważ p. L. wykazuje, że p. S. źle stosował artykuły ustawy, więc gdy znika grunt prawny, pozostają nam tylko dwustronne upodobania, z których wypływa, że prokurator karnawału musi być człowiekiem niemłodym i niezdrowym, łaknącym ciszy dla wypoczynku i pracy, natomiast obrońca jest młodym, zdrowym i lubiącym spędzać wieczory w wesołem gronie towarzyskiem. Można trzymać zakład, że pierwszy z nich już nie tańczy, a drugi jeszcze tańczy. Przypuszczając, że czytelnicy moi rozłamią się na dwa stronnictwa, winienem przedstawić korzyści „Pawła i Gawła w jednym żyjących domku.“ O wygodzie Pawła nie potrzebuję długo mówić: „patrząc pogodniej w przyszłość“ i ratując „upadek ducha,“ skacze on sobie wesoło z nadobną tancerką i baczy tylko, ażeby nie zmylić taktu muzyki; co się dzieje pod nim, nad nim, obok niego, czy tam kto pracuje, cierpi, umiera — on nie pyta. Inuem jest położenie Gawła, który albo po nocach pracuje, albo leży chory, albo czuwa nad chorym. Szczęście to dla niego wielkie, jeśli musi „wyrzec się jakiejś nocy“ w karnawale; ale zdarza się, że tych nocy bywa tylo, ile sąsiad ma „pogodniej w przyszłość patrzących“ córek, że tańce odbywają się co tydzień, a nawet co dzień. Na górze grzmi mazur, od którego ledwie sufit nie zwali się, a na łóżku w twojem mieszkaniu drży histeryczka. Podczas gdy tam panowie robią „kółko,“ twoja chora robi „most.“ Ty na to patrzysz, przeklinasz, targasz się, czekasz... Daremnie. O godzinie trzeciej po północy posyłasz do „grona osób pogodniej patrzących w przyszłość“ i błagasz ich o litość: jedni parlamentarza wyrzucą za drzwi i przypomną, że „wolność Tomku w swoim domku,“ drudzy przyrzekną, że zabawa niedługo się skończy. Ponieważ zaś nieraz kilku twoich sąsiadów podnosi nogami „upadłego ducha,“ więc rezultat układów bywa rozmaity i nic całkiem pomyślny. Z własnych wspomnień przytoczyć mogę fakt, że miałem z góry i z dołu dwa „grona osób,“ które codziennie przez dwa miesiące oddziaływały po nocach przeciwko „pesymizmowi.“

Jak widzisz tedy, czytelniku, przewaga korzyści jest stanowczo po stronie Pawłów. Nie radzę jednak być logicznym. Bo przypuśćmy, że jakiś Paweł nie lubi tańczyć, ale lubi strzelać. Korzystając tedy z karnawału, urządza w swojem mieszkaniu strzelnicę, zaprasza kilku przyjaciół, którzy zaczynają grzmieć do tarczy z pistoletów. Zaniepokojony Gaweł przychodzi z prośbą o zaprzestanie tej hałaśliwej zabawki. Na to odpowiada mu Paweł:

— Egoizm pański sięga za daleko. Bo czyż pan nie możesz wyrzec się jakiejś nocy dla grona osób, które wśród powszechnego pesymizmu i upadku ducha pogodniej patrzą w przyszłość?

— Jeśli tak, to panowie tańczcie.

— Dlaczego ma być nam wolno podnosić ducha stukaniem butami o podłogę, a niewolno strzelaniem z pistoletów? Pomyśl pan, że na tem wyraźnie zyskujesz, bo stukanie trwa bez przerwy, a strzelanie z przestankami.

Pomimo że wywód ten byłby logicznym, ręczę, że Gaweł by go nie przyjął a prawo i zwyczaj osłoniłyby go wobec grona osób pogodniej patrzących w przyszłość.

Ale chociaż obie te instancye oświadczają się za p. L. a nie za panem S., tem nie mniej sprawa podnoszenia ducha zapomocą tańców nocnych powinna być uporządkowaną i rozstrzygniętą na korzyść Gawłów. W niektórych miastach niemieckich (Saksonia) rozcięto spór praktycznie i rozumnie. Tam po północy nie wolno w domach prywatnych i kilkulokalowych nietylko tańczyć, ale nawet grać. Społeczeństwo wytłomaczyło swym wesołym członkom ten zakaz bardzo prosto:

Mieszkanie jest przybytkiem spokoju. Kto więc pragnie tańczyć, niech sobie wynajmie salę publiczną, których każde miasto posiada wiele, i tam hałasuje do syta. Najem ten będzie go mniej kosztował, niż

utrzymywanie własnego salonu, który staje się niepotrzebnym.

I tak niemcy robią.

Anglicy znowu, godząc swobodę osobistą z dobrem ogółu, budują domy wysokie a wązkie, drabinowate, zamieszkałe przez jedną rodzinę, która je wypełnia sama.

My staramy się tylko o „rozwój życia towarzyskiego,“ o „podnoszenie ducha“ tańcami i sądzimy, że ten duch większej wymaga opieki w skaczących nogach, niż w pracujących głowach. Zaiste, ze wszystkich narodów my chyba— najpogodniej patrzymy w przyszłość.

Muszę jednak odbić echo pesymizmu, którego w żaden sposób najhuczniejszym balem zażegnać niepodobna. *Wszechświat* usiadł przed opuszczoną pracownią nieboszczyka Jędrzejewicza i płacze nad jej losem. Bo—według niego — nie ma wątpliwości, że obserwatoryum może być sprzedane tylko (?) częściowo i to zapewne obcym handlarzom... Czyż doprawdy ma zmarnieć ten wyjątkowy, tak piękny objaw żywotności naszej?.. Nie, to niepodobna. Tego rodzaju pomniki ducha ludzkiego marnieją tylko śród społeczeństw dzikich...“ Przypuśćmy, że nie jesteśmy „społeczeństwem dzikiem,“ że pragniemy zachować tę „chlubę narodową,“ cóż więc mamy począć? Na to najważniejsze pytanie *Wszechświat* odpowiada jedynie łzami, a powinien odpowiedzieć radą. Ogół wie zaledwie tyle, że po śmierci Jędrzejewicza została w Płońsku cenna i umiejętnie przez niego urządzona postrzegalnia astronomiczna, że należałoby ją uratować, ale nie wie wcale, jak ma się do tego wziąć i czeka wskazówki od ludzi ze sprawą i jej przedmiotem bliżej obeznanych. A ci ludzie tylko płaczą i narzekają. Niepodobna zaś brać poważnie wiadomości, że „obywatele ziemi płońskiej, przejęci duchem pożytku ogólnego, mają zamiar nabyć od opieki obserwatoryum Jędrzejewicza.“ Bo przypuśćmy, że oni ten zamiar spełnili, przyszli do redakcyi *Wszechświata* i powiadają:

— Elegia panów wzruszyła nas. Uznaliśmy słuszność waszej uwagi, że „najbliżsi sąsiedzi okolic, w których żył i działał Jędrzejewicz, mają prawo do początkowania w tym względzie.“ Więc zapoczątkowaliśmy, obserwatoryum całe kupiliśmy, ale co mamy teraz z nim zrobić. Przecież żaden z nas nie będzie zaglądał w teleskopy i spektroskopy, bo się na tem nie zna. My jesteśmy ziemianie, przemysłowcy, urzędnicy, lekarze, ale nie astronomowie.

Tu tkwi sęk. Pieniężna strona tej sprawy jest do podjęcia daleko lżejsza, niż naukowa. Pracownia Jędrzejewicza była tak osobistą, tak związaną ze swym twórcą, że jej do kogoś drugiego przyczepić niepodobna, chyba że ten ktoś posiadałby takie same uzdolnienie i zamiłowanie naukowe i zasługiwał na darowiznę środków od społeczeństwa. Nabywszy przyrządy astronomiczne, nie zachowujemy bynajmniej dla kraju instytucyi, która o tyle istnieje, o ile jakaś siła umiejętnie w niej działa. Posiadać gdzieś na składzie te przyrządy, to nie znaczy posiadać obserwatoryum naukowe, ale towar. *Wszechświat* tedy, jako organ przyrodoznawstwa, powinien wyjść po za sferę westchnień i obmyśleć sposób uratowania dla kraju nie lunet i spektroskopów, ale stacyi astronomicznej.

Bardzo pożądaną i pożyteczną stacyą etnologiczną obiecuje być *Wisła*, której kierownictwo objął dobrze znany czytelnikom *Prawdy* i wysoko przez nich ceniony J. Karłowicz. Dziś, kiedy imieniem ludu żegnają się w swych pacierzach socyologicznych nawet ci, którzy go nie znają, w porę występuje organ, mający promieniami gruntownej wiedzy rozświecać te ciemne pokłady naszego społeczeństwa. Jest to mocno spóźniona, ale tem ważniejsza naprawa długiego niedbalstwa naszej uwagi w poznawaniu siebie. „Ten tylko ma prawo do ziemi — mówi redakcya *Wisły* w swej zapowiedzi — kto jej mapę i inwentarz sporządził i posiada; pracujmyż więc nad szczegółowem a wszechstronnem poznaniem i opisaniem kraju, bo bez tego zajdziemy się w położeniu dziedzica bez dowodów w ręku.“ Ile złudzeń, krzywych sądów, przykrych zdziwień przesunęło się przez nasze usta i pióra dzięki brakowi tej „mapy i inwentarza ziemi“ naszej! Poświęcony badaniu jej organ był tak niezbędnym, że aż pojąć trudno, czemu dopiero w roku zeszłym się narodził. Pomimo kilku prac wartościowych, wyznać trzeba, że redakcya jego była niedość staranną i umiejętną. W Karłowiczu zyskuje ona naprzód znakomitego specyalistę a powtóre pracownika jej oddanego. Robota przyczepkowa do innych zajęć, załatwiana po drodze, w przejeździe do innych celów, a więc lekceważona nie może być nigdy dobrą i nigdy równą pracy wykonywanej z zamiłowaniem. A taką właśnie pracę da *Wiśle* Karłowicz.

Pragnąłbym, ażeby się znalazł jakiś apostoł i wymownym swoim głosem otworzył uszy tej naszej puszczy, która jest głuchą na wszelkie wołania i zachęty do uprawy pól zaniedbanych a płodnych. Taką zapuszczoną rolą jest pszczelnictwo. Cokolwiek zarzucić można kierownikowi Muzeum pszczelniczego, w wysiłkach tego człowieka, w niezmordowanem, niemal rozpaczliwem podtrzymywaniu instytucyi i pisma, w szczerzeniu wiedzy i zasad hodowli — uznać trzeba energię wielką, wolę dobrą, walkę bohaterską. Muzeum i jego szkoła, chociaż wycieńczone, istnieją, *Pszczoła*, chociaż słaba, wychodzi, a świeżo p. Lewicki wydał ponownie swoje *Pszczelnictwo*. Faktem jest, że gdyby nie on, mielibyśmy tu i owdzie pasieki, ale ta gałąź przemysłu pozostawałaby pod rządem przypadku i zależała od doraźnych natchnień a ogół, raz usłyszawszy, że i w miodzie nie możemy współzawodniczyć z... Ameryką, spałby spokojnie na cierniach tego fatalizmu. Dziś go przynajmniej ktoś budzi, uczy, przekonywa, zachęca...

Obawiam się, ażeby p. Zdzisław Fijałkowski, przeczytawszy tę pochwałę dla p. Lewickiego, nie umieścił go w swej *Encyklopedyi*. Doczekaliśmy bowiem zjawiska niezwykłego. Ów pan „właściciel warszawskiego przedsiębiorstwa *pogrzebowego*,“ ogłasza w *Kuryerze warsz.*: „Mając na uwadze, jak trudno cichej i prawdziwej zasłudze dojść u nas do uznania, lub zyskawszy takowe, jak łatwo być zapomnianym, przystępuję do wydania książki *wielkiej doniosłości społecznej* p. t. *Ilustrowana encyklopedya naszej inteligencyi*. W książce tej pomieszczać będę: nekrologi i życiorysy z pięknymi portretami ludzi wszystkich sfer, którzy w przemyśle, biurokracyi, nauce, literaturze lub filantropii zasłużyli się naszemu społeczeństwu. Bliższych szczegółów zasięgnąć można osobiście...“ Tu następuje adres przedsiębiorstwa pogrzebowego. Bajka, że my nie możemy konkurować z Ameryką! Podobną Encyklopedyę zapowiedział *Tygodnik powszechny*, ale mam nadzieję, że p. Fijałkowski zapewniwszy swym abonentom, jako premium, rabat w kosztach pogrzebu, pokona przeciwnika. Tymczasem zdaje mi się, że należałoby „zasięgnąć bliższych szczegółów“ o tem przedsiębiorstwie literacko-pogrzebowem i objaśnić publiczność o jego „doniosłości społecznej.“

Warszawa staje się coraz bardziej wielkiem miastem.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Płocczanin. — Dobrodziejstwa Tow. kredytowego w Płocku. — Losy dobroczynności. — Oszczędni kamienicznicy. — Szkolnictwo i czytelnictwo. — Dwie siły: kodeks i para. — Kamienie żyjące. — Zbawienny wpływ przedstawień amatorskich. — Pokątne kolektorstwo. — Skromność w zabawach. — Teorya ekonomiczna p. Rysia. — Odpowiedź *Zorzy*.

Już po raz trzeci zjawia się staraniem p. Maryana Kozarskiego kalendarz *Płocczanin*. Jest on właściwie sumiennie opracowanym i w obfitą treść zaopatrzonym rocznikiem ekonomiczno-społecznym z przyprawą polemiczną. Prowincya bywa głuchą, gdy po za swemi granicami otrzymuje naganę, rzuca się jak pszczoła w ulu, gdy szerszeń obok niej zahuczy. Wiedzą o tem dobrze przedstawiciele gazet prowincyonalnych, więc się starają grzecznością zaskarbić sobie łaski abonentów czułych na uderzenie w stół. *Płocczanin* postępuje przeciwnie. Znajdujemy tu siedem kronik: płocką, ciechanowską, mławską, wyszogrodzką, rypińską i dwie sierpeckie. Najwięcej odwagi dowiódł Ko.—Mar. Z artykułów dowiedzieć się można wielu ciekawych rzeczy. Tak np. Towarzystwo kredytowe miejskie, liczące zaledwie kilka miesięcy, ma już znaczne zasługi. Puściło w obieg odrazu 700,000 rs. na warunkach bardzo wygodnego kredytu. Posypały się podania. Zafantowali swe domy wszyscy, nawet bankierzy i błogosławią nieocenioną instytucyę, bo któż dziś daje gotówkę na 8% na lat 35, którą można zaraz odpożyczyć z terminem rocznym na 20%?! Korzystanie z kredytu wymaga pewnych formalności. Ponieważ prędzej potrafią je załatwić zasobni, więc stają się z drugiej ręki dobrodziejami tych, coby musieli dłużej czekać na zaspokojenie tej samej sprawy u źródła. A oto losy tamtejszej Dobroczynności. Przed sześciu laty posiadała ona członków 172, obecnie jest ich 88, z ciężarem 500 rs. zaległych składek. Uchylają się od obowiązku zamożni, a płacą najregularniej ci, którzy sami potrzebują wsparcia. Bogaci właściciele nieruchomości nie wstydzili się pisać o wykreślenie ich z listy członków Towarzystwa (płacili rubla lub trzy rocznie). Powien magnat miał przynajmniej dobre chęci, bo podjąwszy się zebrać od swoich krewniaków składkę na drzewo dla ubogich, dostarczył 50... groszy! A inne czyny obywatelskie? Kilku kamieniczników wystąpiło w miejscowym organie z żądaniem zwolnienia ich od składki na utrzymanie trzech stróżów na wieży sygnałowej, a włożenie tego obowiązku na kasę straży, która dla sprawienia sikawki i dwóch beczek, wszystkie prawie swoje fundusze wyczerpała. Podatek ów wynosił po *kilkadziesiąt* kopiejek od każdego właściciela domu.

Ciekawe szczegóły zebrał p. Ludwik Krzywicki w artykule „Szkolnictwo elementarne w gub. płockiej za rok 1886/7.“ Cyfry mówią, iż w miejscowościach, gdzie są uczelnie z niemcami (pow. mławski i praszny) daje się zauważyć niezwykłe ubóstwo szkół gromadzkich, czyli: żywioł niemiecki jest głównym czynnikiem w rozwoju szkolnictwa wiejskiego w gubernii płockiej.

W innem miejscu p. Kossowski kreśli historyę uporczywej walki o byt nowej szkoły miejskiej w Płocku. Przy ogólnem zainteresowaniu się tą sprawą, ujawniła się „niedołężność i obojętność“ szlachty. Komitet gospodarczy wyczekawszy do ostatecznego terminu, przekonał się, że niepodobna liczyć na pomoc ziemiaństwa. Najwięcej dbałości o oświatę wykazali mieszczanie. Słusznie też mieli prawo starać się o nadanie ich dzieciom pierwszeństwa przy wstępowaniu do zakładu, co w części udało im się pozyskać. Między innemi proponowano wyznaczenie 30 rs. wpisu rocznego od zamiejscowych uczniów, a 10 od dzieci mieszczańskich. Lecz ostatecznie władza ustanowiła rs. 20 od wszystkich bez wyjątku. Tym sposobem kukułki ziemiańskie będą miały gdzie składać swe jaja.

Ciekawą jest tablica pism. Otóż mody najbardziej zaprzątają nadobne główki, bo z całej prasy najwięcej idzie do samego

Płocka *Bluszczu*: 60 egzemplarzy, ogółem na wszystkie powiaty 168. Chłopi górą! — najwyższa ilość w całej gubernii rozchodzi się *Gazety świątecznej* 328 egzemplarzy. Duch postępu słabo kołacze, gdyż ogółem cała prowincya otrzymuje 195 egzemplarzy czasopism tego kierunku. Wszystkich pism gubernia odbiera 3,732 za rs. niespełna 30,000. Na oko pokaźna suma, lecz nie wiem, czy przeciętnie kilka kopiejek rocznie podatku na pożywienie umysłowe wypadnie na każdego mieszkańca. Jeszcze mniej korzystnie przedstawia się pokup książek: w Sierpcu istniała czytelnia i spółka kolporterska w celu sprowadzania nowości, lecz *dla braku poparcia* upadła. Za to obywatelstwo okoliczne może się poszczycić niepospolitym sprytem zapomocą kodeksu i pary. Siła pierwszego nie pozwala aresztować zboża na pniu, siła drugiej pozwala go natychmiast po zebraniu omłócić. A więc sprowadza się wypożyczoną na godziny lokomobilę pomiędzy stojące zboże i puszcza w ruch jednocześnie z kilkunastoma kośnikami. Prosto z pnia wozi się snopy do omlotu, a potem ziarno wprost za granicę swej posiadłości. Zatrwożony tem żyd, z nakazem egzekucyjnym pędzi co sił starczy z komornikiem na pole. Wtedy lokomobila gwiżdże i staje, składają narzędzia robotnicy, a przewodnik ich z powagą i zimną krwią częstuje tabaką osłupiałych przybyszów. Gospodarz spokojny o łan bujnej nieskoszonej pszenicy, zabezpieczony przed ich drapieżnością powagą 520 artykułu kodeksu cywilnego. Piękne te obrazki podpatrzył *Rębajło Sierpecki*.

Dotąd ochotnicy na scenie służyli tylko za rozrywkę dla znudzonych, lub za środek zdobycia datku na jaki cel dobroczynny. A oto zaszedł wypadek inny. Pewien ziemianin, chcąc się rozerwać, pojechał na przedstawienie amatorskie do Ciechanowa. Zachwyciły go dwie nadobne, świeżutkie istoty, ich rozumne liczka. „Mój Boże! — pomyślał — jak to dzierlatki pracują dla dobra ogółu! Ja też mam córki, a jaka z nich pociecha? I zapłakał w duchu nad niedołęztwem swego gatunku. Tak być nadal nie może! — rzekł sobie i po powrocie do domu napisał zwierzenie do sąsiada, które tak kończy: „Przywiodłem sobie na myśl, że ileż to córek albo siostrzenic bez stale użytecznego zajęcia, bez wytkniętego celu pracy kwasi się z dnia na dzień i nie zna praktycznie potrzeb, obyczajów i poziomu oświaty nawet tych ludzi, z którymi razem w jednej wsi mieszkają. Nasz fornal, parobek, lub małomorgowy gospodarz, byle o najmniejszą rzecz: o gwóźdź, kwaterkę nafty, tasiemkę, śledzia itp. udaje się do sąsiedniego miasteczka, a jak mu kobieta lub dzieciak zachoruje, to już wszystkich cyrulików i znachorów obejdzie, guślarzy z zamówieniami sprowadza, wszędzie go potrosze obedrą, a o dwór dopiero w ostatecznej konieczności zaczepi. Otóż żeby moje córki przyłożyć do użytecznej pracy i gruntownego poznania młodszej naszej braci, postanowiłem założyć we wsi kram mały i zapełniać go stopniowo wszelkimi przedmiotami, jakich nasz chłopek potrzebuje i sprzedawać je tylko po cenie kosztu. Najpierw będzie się można zaopatrzyć w towary na taką cenę w świeżo urządzonym sklepie spożywczym przy cukrowni ciechanowskiej; a potem da się przepatrzeć i inne drogi, bacząc na to, aby towar był lepszy i tańszy, niż w miasteczku, oraz nie zawadzi mieć coś z płodów Promyka i innych; apteczka zaś na doraźny ratunek także będzie gotowa." Jeśli taki zbawienny wpływ ma wywierać gra ochotnicza na scenie, niech się do niej biorą wszystkie panny małomiasteczkowe, aby rozbudzić, chociaż bezwiednie, drzemiące rowieśnice wiejskie i ich ojców.

Od dawna słyszę ze wszystkich stron prowincyi skargi na wyzyskiwaczów loteryjnych. Powtarzają się one stale co kilka tygodni w pismach, a handlarze drwią z tego i dalej prowadzą interes. Dlaczego nie mają kuć żelaza, póki gorące? Zanim wszakże ktoś je ostudzi, mogą wykuć sobie kamienice i majątki ziemskie. Do pokątnego kolektora przychodzi robotnik pełen nadziei szczęścia i za ćwiartkę zamiast rs. 3 k. 6, musi zapłacić 3 rs. 50 kop. Tym sposobem cały los w pięciu klasach przynosi sprzedającemu 8 rs. 80 kop. czystego zysku. A co się dzieje w razie wygranej? Gdy uszczęśliwiony wybraniec trafu przyjdzie po odbiór swej należności, w głowie mu się zakręci od zawiłych rachunków, wyliczeń. Dobrze, jeśli dostanie trzecią część sumy. Gdyby mu rzezimieszek wsunął rękę do kieszeni, wezwałby do pomocy stróża bezpieczeństwa publicznego. Tutaj zaś odbywa się kradzież w dzień biały i przy świadkach bezkarnie.

Reporterzy prowincyonalni powszechnie notują skromność w zabawach. Nawet tym, co chcą błyszczeć zewnętrznie, włożono cugle. W roku przeszłym kilka zamożnych panien w Rypińskiem zapłaciły kary za zbyt kosztowne stroje. Cieszą się z tego uboższe, bo ich nikt nie wyklnie za to, że w tych samych sukienkach będą tańczyć przez cały karnawał. Chyba tylko jeden *Ryś* w *Kaliszaninie* poprowadzi je pod pręgierz. Oszczędnych w tym kierunku nazywa „naiwnymi," bo „nie rozumieją wyższych celów, ukrytych w fałdach bogatych sukien i w oprawach drogich kamieni." W co by się obrócił nasz handel i przemysł — woła — gdybyśmy ich nie popierali w ten sposób? Ratujmy kraj od ostatecznej ruiny ekonomicznej, bo gdy w ślady ziemian pójdą kupcy i przemysłowcy, trzeba będzie ogłosić ostateczne bankructwo. Takie swe rozumowanie nazywa *zdolnością myślenia* (!). Brrr! Nie chciałbym oglądać tego myśliciela. Każdy robi co może i p. *Ryś* chce zapomocą balów zbawić kraj od zagłady ekonomicznej, więc z oburzeniem krzyczy na *kompromitacyę* sieradzan, którym zabawa się nie udała z powodu braku balowników.

Szan. redaktor *Zorzy* uważa się za pokrzywdzonego przezemnie w ocenie jego kalendarza. Przyjemnie mi zaznaczyć, że tym razem wina niedbalstwa spada na p. Skryżewskiego, którego *staraniem* wyszedł kalendarz, nieprzejrzany przez kierownika pisma. Co zaś do *Zorzy*, zdaje mi się, żem nie popełnił zbrodni, stawiając ją niżej od *Gaz. świątecznej*, czego i teraz nie cofam. Oba organy ludowe mają swe zasługi, różniące się tylko w stopniu.

Drogomir.

Z Kielc. Komuż nie są znane sadzawki społeczne, noszące u nas miano grodów gubernialnych i powiatowych? Pod grubą warstwą pleśni wszelkie zda się życie, wszelki ruch ustaje. Jeśliś kiedy, na szerszym gościńcu, marzył o postępie, a wicher losu do Kielc cię przygnał i na samotność skazał, wcześniej lub później ulegniesz asymilacyi i zamilkniesz, zaśniesz w rybiej gromadzie. Szczęśliwy, gdy zdołałeś sobie ogać rodzinną śród pustkowia społecznego założyć, albo na mniszym poprzestać żywocie! Inaczej będziesz zmuszony wybierać między idyotyczną zabawą przy stoliku zielonym, a zabijającemi zdrowie i dzielność umysłu — libacyami alkoholicznemi. Nie podniosą cię też, nie wesprą moralnie wieczory karnawałowe, liche różnego pokroju przedstawienia sceniczne i inne kwiaty bezwonne wegetowania prowincyonalnego. Na stanowisku obserwatora nie wytrwasz długo— znuży cię jednostajność drobnostkowych zjawisk i szereg dni, podobnych do siebie, jak krople wody, spadające na gołą czaszkę przywiązanego do słupa skazańca... Nie należy wszakże zapominać, że publiczność miejscowa ulega wpływom zewnętrznym, że się przerabia i odnawia, że nakoniec po za dostępnymi dla spostrzegacza, monotonnemi widokami — są ciche pracownie indywidualne, owe katakumby wolnej myśli ludzkiej, które niewidomie daleko silniej, a często korzystniej oddziaływają na stan moralny ogółu, niż fanatyczne ambony i zadowolone z siebie a do prenumeratorów kokieteryjnie uśmiechnięte dzienniki. Tę ostatnią uwagę obudził we mnie przed kilku dniami wypadek żałobnej skądinąd natury — pogrzeb człowieka. Siedem czy osiem lat temu przybył do Kielc młody lekarz, wychowaniec uniwersytetu warszawskiego, Władysław Strawiński. Sumienny i pracowity, a skromny i nieszukający rozgłosu, wezwany do chorego, spieszył skwapliwie z poradą; daleki wszakże od owej śmiałości pomysłów, na płytkiej opartych dyagnozie, od owej stanowczości, która czasem stawia na nogi, ale częściej zabija pacyenta, w chwili krytycznej wolał powiedzieć „nie wiem," niż krzykliwą blagerą maskować przed profanami bezsilność medycyny. Czas wolny od obowiązków poświęcał nauce. Nie widywano go ani przy kuflu, ani za stolikiem zielonym z talią kart w ręku. Był wzorowym mężem. W braku własnych dzieci — po ojcowsku opiekował się cudzemi. Zamknięty w sobie i posępny z pozoru, odznaczał się w gronie kolegów gotowością do poświęceń, co nawet, jak mówią, spowodowało mało przyspieszenie skonu. Wywierał wreszcie na najbliższe otoczenie wpływ pod względem moralnym stanowczo dodatni, propagując śród nielicznej przyjaciół drużyny zasadę życia towarzyskiego, opartego raczej na inteligencyjnych, niż gastronomicznych potrzebach. W dniu 29 stycznia r. b. złamany długą chorobą, umarł, a jego pamięci żadna skaza etyczna nie obciąża. Onegdaj odbył się pogrzeb zwłok skromnego pracownika—napół cywilny, bez dzwonów i kropidła. Władysław Strawiński był prawdopodobnie wolnomyślnym; ale swej religii kolebkowej, katolicyzmu nigdy się głośno nie wypierał. Duchowieństwo jednak za obojętne traktowanie ceremonij kościelnych postanowiło *ukarać go po śmierci*, czy też kalchasowym gromem nad głowami żyjących zaszumić. Zrazu odmówiło ono wszelkiego w pogrzebie uczestnictwa, i dopiero po długim oporze, ustępując usilnym prawowiernych prośbom, zgodziło się na asystencyę kapłańską i wyniesienie chorągwi żałobnej. Nie czynimy stąd bynajmniej żadnego duchowieństwu zarzutu; uważalibyśmy nawet za rzecz bardzo właściwą, gdyby w tym razie stosowało się bezwględnie do skostniałej litery prawa kanonicznego. Trudno bowiem odstępować od zasady, raz na zawsze uznanej za świętą i niewzruszoną. Notujemy wszakże skwapliwie dany wypadek i podkreślamy dlatego, że publiczność kielecka, uznawana niegdyś za arcykonserwatywną, zaprotestowała wymownie przeciw połowicznej prawdzie, ale jawnej i głośnej na naszym bruku klątwie kapłańskiej. Pomimo iście zimowej niepogody—mrozu i zamieci śnieżnej—orszak pogrzebowy dochodził liczebnie do dwu tysięcy. Nietylko krewni, przyjaciele i koledzy, nietylko młodzież szkolna i reprezentanci zarządu miejskiego (zmarły był lekarzem gimnazyalnym i miejskim), ale dalecy nawet znajomi i cały tłum różnowyznaniowy spieszył, choć nie słyszał ech podzwonnych, oddać hołd sprawiedliwemu. *E pur si muove!..*

A. G. B.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Po naszemu. Z Paryża odbieramy list następujący: Szanowny Panie Redaktorze! *Encyklopedya wychowawcza*, wychodząca w Warszawie, zawiera w ostatnim swoim zeszycie dłuższy artykuł p. t. *Francya* (wydrukowano *Francyja*), o napisanie którego proszono mię przed kilku laty.

Ze zdumieniem przekonałem się, że praca moja w niektórych miejscach, a mianowicie wszędzie tam, gdzie wypadło mi ocenić prawo o bezwyznaniowem nauczaniu w szkołach elementarnych, zupełnie przerobiona została. Dodać muszę, że redakcya nie raczyła nadesłać mi korekty, tak że dziś dopiero czytając po raz pierwszy rzeczony artykuł, spostrzegłem, do jakiego stopnia zlekceważono zapatrywanie się moje na liberalne i arcyrozumne prawo, które demokracya francuska, po długoletnich bojach wreszcie wywalczyć sobie zdołała.

Niech mi więc wolno będzie, zapomocą Waszego pisma, Szanowny Panie Redaktorze, zawiadomić pu

bliczność polską, że artykuł *Francya* w *Encykl. wychow.* odznacza się *krytyką klerykalnego zakroju, która z pojęciami jego autora nic a nic nie ma wspólnego*; niech mi wolno będzie przeciwko takiej *cenzurze* najenergiczniej zaprotestować.

Za umieszczenie niniejszej protestacyi, którą jednocześnie do kilku innych dzienników polskich posyłam, byłbym Szanownemu Panu Redaktorowi, jako pisarz swą sumienną pracę szanujący i jako urzędnik francuzkiego ministeryum oświaty bardzo zobowiązany.

Proszę przyjąć itd. *Trawiński.*

W ministeryum komunikacyi podniesiono projekt ujednostajnienia szybkości pociągów towarowych i osobowych na wszystkich kolejach w Cesarstwie i Królestwie. Główną uwagę zwrócono na pociągi pocztowe, które obecnie nie zawsze z sobą się łączą, co wpływa na opóźnienie korespondencyi. Na kolei Dąbrowskiej szybkość pociągów pasażerskich z początkiem letniego rozkładu powiększoną będzie do 35 wiorst na godzinę. Taką samą prędkość otrzymać mają wszystkie pociągi pocztowe na kolejach w Cesarstwie, które dotąd przebywały od 25 do 30 wiorst na godzinę.

Śniegi. Kilkodniowa zamieć, trwająca do 6 b. m. w okolicach Warszawy i dalej w kierunku zachodnim, wstrzymała zupełnie ruch kolejowy na drogach Wiedeńskiej, Bydgoskiej, Fabryczno-Łódzkiej, Dąbrowskiej i Nadwiślańskiej. D. 5-go żaden pociąg po południu z Warszawy nie wyszedł. Mnóstwo ludzi pracuje nad odgrzebywaniem torów. Zrazu wysyłano parowozy dla przebicia drogi, ale te grzęzły w zaspach jeden po drugim. Tylko na kolejach Petersburskiej i Terespolskiej komunikacya nie uległa żadnej przerwie.

Dyskusye nad projektem nowej ustawy leśnej, z powodu nawału interesów w Radzie państwa, znowu odroczone. Przepisy, zabezpieczające lasy od gospodarstwa rabunkowego i wyniszczających porębów, mają podobno być tylko w części wprowadzone w wykonanie.

W Hanowerze w Hildesheimie jakiś pastor wykładał z kazalnicy potrzebę dobrych kucharek w domu prawdziwie chrześciańskim. Władza dyecezyalna pozbawiła go za to prawa miewania kazań.

Kopalnie złota. Berlińskie Towarzystwo kolonialne Afryki południowo-wschodniej otrzymało z Kapetownu wiadomość o odkryciu bogatych min złota nad zatoką Wielorybią w kraju, nabytym przed dwoma laty przez kupca bremeńskiego Lüderitza.

Rocznica urodzin Kopernika przypada 19 lutego. W dniu tym według Najwyżej zatwierdzonych przepisów ministra oświaty, powinny być corocznie w dziennikach ogłaszane nazwiska studentów, otrzymujących stypendya lub wsparcia jednorazowe z funduszów imienia Kopernika, zostających pod zawiadywaniem uniwersytetu warszawskiego, zebranych przez redakcye pism polskich.

Ruski Kuryer donosi, iż wkrótce zastosowany będzie szereg środków celem uregulowania stosunków w instytucyach kredytowych. Między innymi przy wydawaniu koncesyi na otwarcie nowych instytucyj ma być ograniczona działalność ich w pewnym stałym stosunku do kapitału obrotowego. Nadto ministeryum skarbu będzie miało prawo wydawać rozporządzenia, tyczące się takich instytucyj.

Szkoły. Ministeryum wychowania publicznego, jak donosi *Now. Wremia*, przygotowuje nowe przepisy o szkołach prywatnych. Przy otwieraniu takich zakładów od przełożonych będzie wymagana nietylko kwalifikacya naukowa, lecz i uzdolnienie pedagogiczne.

W Odesie panuje sroga zima od miesiąca. Z morza wznoszą się słupy pary, zasłaniające widnokrąg. Przypuszczają, iż port zamarznie.

Warszawskie Towarzystwo dobroczynności otrzymało pozwolenie na otwarcie jeszcze jednej szwalni dla ubogich dziewcząt.

Terminologia owocowa. Na wniosek p. A. Jabłonowskiego, członka Tow. ogrodniczego, komisya specyalna tej instytucyi zajmuje się ułożeniem polskiej terminologii owocowej, w której dotąd wielki nieład panuje.

Nauka. Patologiczno-kliniczne studyum dr. Teodora Herynga „O wyleczalności suchot gardlanych" metodą chirurgiczną zwróciło uwagę za granicą pośród specyalistów. Pracę tę, która wyszła obecnie w Stutgardzie, nazywa dr. Schmidt (frankfurcki) „epokową."

Egzaminy. Z początkiem przyszłego roku akademickiego, kandydaci na stopień prowizora farmacyi i podaptekarza, będą mogli przystępować do egzaminu tylko raz do roku w początkach października. Styczniowe będą zniesione.

Właściciel fabryki szkła, p. Szrajber koło Ząbkowic, pociągnięty został przez inspekcyę do odpowiedzialności za przekroczenie ustawy o pracy nieletnich. Miejscowy sąd gminny skazał go na karę pieniężną 50 rs.

Rusk. Wiedomosti donoszą o powiększającej się ciągle na granicy austryackiej kontrabandzie broni palnej. Przemytnicy roznoszą towar w workach i sprzedają z nabojami bardzo tanio.

Nach Polen! Pod tym tytułem Godfryd Branse wydał broszurkę, w której przedstawił nasze stosunki rolnicze i ekonomiczne, jako wskazówki dla jego rodaków, szukających u nas karyery. Książka już wyczerpana w pierwszem wydaniu.

Zjazd młynarzów w Moskwie ma się odbywać od 15 do 25 lutego (s. st.).

W uniwersytecie warszawskim dotychczas profesorowie, którzy przesłużyli lat 25, na następne pięciolecie podlegali balotowaniu rady uniwersyteckiej. Obecnie zwyczaj ten zniesiono, wysłużeni zaś profesorowie upoważnienie do dalszych wykładów otrzymywać będą od władzy edukacyjnej. Docenci w tym względzie zależą od kuratora okręgu naukowego, profesorowie zaś nadzwyczajni i zwyczajni otrzymywać będą nominacye od ministra spraw wewnętrznych.

Konkurs imienia Żółkowskiego już rozstrzygnięto. Pierwszej nagrody nie przyznano nikomu, natomiast z sumy rs. 1000 utworzono dwie nagrody, z których drugą rs. 400 dano sztuce ludowej p. t. „Na ojcowiźnie." Autorami jej są: Stefania Ulanowska i Alfred Szczepański.

— Towarzystwo śpiewackie warszawskie „Lutnia" ogłasza konkurs na napisanie utworu na głosy męzkie bez akompaniamentu, w formie pieśni do tekstu polskiego, dowolnie wybranego, posiadającego wartość literacką. Termin d. 15 kwietnia r. b. Nagroda za najlepszy utwór 5 dukatów w złocie, dwom następnie wyróżnionym po jednym dukacie.

Za niewyraźny podpis jedna z kolei tutejszych skazała dziewięciu swych urzędników na grzywnę po 50 kop.

W uniwersytecie charkowskim rozpoczęto wykłady.

W Poznaniu pod nazwą „Staszic" zawiązało się Towarzystwo, które postanawia szerzyć słowem i czynem zasady filantropii i oszczędności, szczególnie między młodzieżą.

Wacław Horbatowski, student wydziału lekarskiego w uniwersytecie kijowskim, za najlepszą rozprawę otrzymał medal złoty.

Ministeryum skarbu zwróciło uwagę na to, iż wielu emerytów zastawia swoje książeczki lichwiarzom, podpisując zgóry kupony na pewien czas. Z tego powodu polecono kasom skarbowym, aby przy wydawaniu pieniędzy przekreślać podpisy na dalszych kuponach (prócz bieżącego).

Do Petersburga wkrótce przybędzie deputacya fabrykantów z pogranicza Królestwa Polskiego, celem uzyskania 3-letniej prolongaty na utrzymywanie robotników zagranicznych.

Odczyty. Zarząd Towarzystwa osad rolnych urządza w przyszłym miesiącu seryę 10 ciu odczytów w sali ratuszowej w następującym porządku: dr. med. Aleksander Fabian, „Hypnotyzm w nauce a w praktyce"; dr. Maurycy Fierich, prof. uniw. krak., „Prawo i nauka prawa"; dr. Edmund Krzymuski, prof. uniw. krak., „O nowej szkole włoskiej prawa karnego"; dr. med. Henryk Łuczkiewicz, „O znaczeniu medycyny i stosunku medyków do społeczeństwa dawniej a teraz"; dr. Jul. Ochorowicz, „Z historyi magnetyzmu i hypnotyzmu"; dr. Józef Rostafiński, prof. uniw. krak., „O palmach."

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. A. G. w Ros. Jest to zaledwie surowy pomysł, który należałoby rozwinąć i opracować.

P. Henr. W. M. Ach, Panie szanowny, kilkadziesiąt wierszy najzwyklejszej osnowy, opowiedzianej najzwyklejszym sposobem — to jeszcze nie utwór literacki. Przecież nawet te nieszczęsne nowelki wymagają jakiegoś artyzmu.

P. A. Z. w Krakowie. Zamieścimy tylko „Chleb."

Władysł. W. Rękopis odebrać można.

Jednemu z wielu. Większa część uwag i żądań pańskich jest słuszną, chociaż wyrażone publicznie nie oddziaływałyby na tych, którzy wyłącznie kierują się swoim interesem. Niektóre z przytoczonych dzieł mamy w planie naszego wydawnictwa, niektóre (np. A. Rambe'a) nie zyskałyby wstępu, wszystkie zaś — wierz Pan — rozprzedawałyby się bardzo ciężko. Narzekania księgarzów są uzasadnione o tyle, że popyt w tej dziedzinie handlu nadzwyczajnie się zmniejszył.

Stałej prenum. 1) Nie ma; 2) przedewszystkiem i koniecznie trzeba mieć talent. W tym względzie niech Pani poradzi się jakiegoś wytrawnego aktora lub aktorki.

A. B. C. Co Pan nam przysyła, to są notatki, luźne uwagi, oderwane zdania, ale nieumiejętnie rozwinięte i opracowane artykuły literackie. Te zaś tylko drukować można.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Января 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.